NR 3 (79)
ROK III

TYDZIEŃ

18. I 1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



Karnawał 1948

W III ROCZNICĘ OSWOBODZENIA WARSZAWY



Powalona figura Chrystusa symbolizuje stan umęczonego miasta.



Mogiła Nieznanego Żołnierza zburzona, jak miasto.



Wśród otaczających gruzów dźwignięto posąg Chrystusa na cokół.



Stare miasto — dzielnicę zabytkową, zastaliśmy w gruzach.



Dzisiaj znowu jest przedmiotem kultu rodaków.



Stopniowo Stare Miasto przywrócone będzie do dawnego stanu, odtwarzanego z całym pietyzmem. Jedna z pierwszych odbudowana została kamienica Baryczków





W takim stanie zastaliśmy pałac Staszica i pomnik Kopernika



Prace rekonstrukcyjne głównej świątyni warszawskiej posuwają się naprzód



Kopernik powrócił już na swoje miejsce...

17 STYCZNIA

Katedra Ś-to Jańska w chwili wyzwolenia

MARIAN BOGACZ

TRZY LATA

Przygotowania do wyzwolenia Stolicy trwały bardzo długo. Termin generalnego szturmu trzymany był w sztabie w ścisłej tajemnicy, gdyż wielu folksdojczów i szpiegów kręciło się po Pradze.

Toteż, gdy rankiem dnia 17 stycznia 1945 r. oddziały Wojska Polskiego i Armii Czerwonej sforsowały Wisłę, zaskakując zupełnie Niemców — władze miejskie pośpiesznie szykowały akcję dożywiania i pomocy lekarskiej dla tych mieszkańców, którzy pozostali przy życiu w Warszawie. Nikt jednak nie wiedział ilu Polaków pozostało w ruinach stolicy; wiadomości jakie krążyły, były różne. Według jednej wersji nie powinien nikt zostać przy życiu, według innej spodziewano się zastać kilkadziesiąt tysięcy osób.

Od rana więc, z polecenia pierwszego po wyzwoleniu prezydenta Warszawy — płk. Spychalskiego, gorączkowo szykowano chleb, konserwy, marmoladę, cukier, kartofle; a kuchnie obywatelskie trwały w pogotowiu, aby szykować strawę. Lekarze i służba sanitarna, aczkolwiek przeciążeni pracą w szpitalach praskich, mobilizowali środki dla pomocy sanitarnej.

Pierwsza wieść konkretna przyszła późno wieczorem, gdy jedna z grup pracowników miejskich — które udały się po lodzie na drugi brzeg Wisły i dotarły do Krakowskiego Przedmieścia — zawróciła nie mogąc dalej się posuwać, z uwagi na zaminowany teren i góry gruzów, miejscami trudnych do przebycia, zwłaszcza w nocy, przy dość silnym mrozie. Wieść, którą przynieśli, była straszna: „Nie spotkaliśmy nikogo. — Domów całych nie ma". — W Bristolu jedynie, gdzie kwaterowali Niemcy, zastano resztki śniadania, gdyż szturm nagły zaskoczył Niemców spożywających najspokojniej posiłek. Wobec takich informacji stan pogotowia zawieszono do następnego ranka.

Nazajutrz stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że z mieszkańców miasta nie pozostał w gruzach prawie nikt (z wyjątkiem kilkunastu osób ukrytych w piwnicach Muzeum Narodowego z prof. Lorencem na czele).

Napływały już jednak tłumy dawnych warszawiaków z podwarszawskich okolic, aby przekonać się o zniszczeniu kamienicy, w której niegdyś zamieszkiwali i poszukiwać resztek dobytku lub drobnych pamiątek w zgliszczach. Ci, którzy coś niecoś zastali ze swego dobytku, zmuszeni byli nocować na mrozie w nieopalonych izbach bez drzwi i okien, lub w ruinach, w obawie, aby grasujące hieny nie rozgrabiły i tych pozostałych resztek. Sytuacja ich była ciężka, brak było wody, nigdzie nie można było dostać nic do zjedzenia, naokoło tylko gruzy i gruzy. Tym należało przyjść z natychmiastową pomocą, jak również zaopatrzyć w żywność i ciepłą strawę ekipy pracownicze, które zostały wysłane dla zabezpieczenia mienia państwowego i miejskiego. Zorganizowano więc pierwsze kuchnie: przy ul. Marszałkowskiej 8, na Wybrzeżu Kościuszkowskim (teren Elektrowni), na Filtrach, na terenie gazowni itp.

19 stycznia przybyli na Pragę członkowie PKWN z prezydentem KRN ob. Bierutem na czele, owacyjnie witani przez przedstawicieli miasta, partie polityczne, związki zawodowe i ludność Pragi, a kiedy rozeszła się po mieście wieść, że PKWN jednogłośnie postanowił obrać Warszawę za swoją siedzibę, nikt nie miał już wątpliwości, że Warszawa zostanie nadal Stolicą i będzie odbudowana.

Ogromne zniszczenie Stolicy, dziesiątki tysięcy mogił rozsianych po placach, skwerach, podwórkach, piwnicach itp. wyciskały wielu łzy z oczu, zwłaszcza, że nie było niemal rodziny, w której by nie stwierdzono braku kogoś bliskiego. Znamienna jednak decyzja PKWN, wspaniała defilada w Alejach Jerozolimskich, oraz w rekordowym czasie wybudowany pierwszy most pontonowy na Wiśle koło Saskiej Kępy, pokrzepiły serca mieszkańców.

W nader trudnych warunkach przystąpiono do żmudnej pracy: uprzątania gruzów i wytyczania dróg komunikacyjnych w mieście, do zabezpieczenia ocalałych obiektów i dźwigania Stolicy z gruzów.

I dziś po trzech latach pracy poszczycić się możemy dużymi wynikami.

Trzecia rocznica wyzwolenia Warszawy zastaje nas wśród ciężkiej pracy, ale też i umacnia w nas to przekonanie, że minionego trzylecia nie zmarnowaliśmy, lecz w miarę sił i posiadanych środków dokonaliśmy więcej, niż przewidywali przed trzema laty najwięksi optymiści.

Nawet najbardziej krytycznie usposobiony obywatel przyznać musi że w tych warunkach i tymi środkami jakimi dysponował Rząd i władze miejskie — dokonano w Stolicy b. wiele. Przyznać to muszą przede wszystkim ci, którzy widzieli Warszawę w tych pamiętnych dniach styczniowych w 1945 r.

Odbudowa zniszczonych szkół, fabryk i warsztatów pracy, odbudowa mostów, sieci kolejowej, tramwajowej, elektrycznej, wodociągowo - kanalizacyjnej, uruchomienia zakładów naukowych i udostępnienie ich warstwom najbardziej dotychczas upośledzonym oraz konsekwentne realizowanie planu trzyletniego jest wyczynem wielkim, jeśli się zważy ogrom zniszczenia w Stolicy, jaki zastaliśmy po hitlerowskim okupancie.

Patrząc na reprodukowane na stronie drugiej zdjęcia — nie trudno będzie stwierdzić, że nawet doszczętnie zniszczone obiekty, będące pamiątką naszej kultury narodowej, dźwigają się z gruzów.

Katedra św. Jana, kościół św. Krzyża, kamienica Baryczków na Starym Mieście, pałac Staszica, pomnik Kopernika, Grób Nieznanego Żołnierza i wiele, wiele innych obiektów są widomym dowodem naszej pracy nad odbudową zniszczonej stolicy.

Zapowiadane przez Prezydenta miasta Tołwińskiego i Komitet Odbudowy Stolicy zwiększenie w roku bieżącym tempa odbudowy, zwłaszcza w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego — cieszy serca warszawiaków, przywiązanych do swego miasta tak, jak chyba nie zdarza się to w żadnym mieście na świecie. Rozumieją to mieszkańcy innych dzielnic Polski, czego dowodem są liczne ofiary, płynące zewsząd na odbudowę Stolicy, gdyż w dziejach naszych jest wiele znamion nierozerwalnego związku Warszawy z losami całej Polski. Tkwią one w insurekcji ludu warszawskiego z roku 1794, w nocy listopadowej 1830 r., w powstaniu styczniowym 1863 r., w kamieniach bruku Placu Grzybowskiego, w walkach wrześniowych 1939 r. i w najtragiczniejszym z powstań — powstaniu warszawskim. Jesteśmy bowiem spadkobiercami licznych pokoleń, które nadawały charakter Stolicy i kierunek jej rozbudowy i chcemy być kontynuatorami tych wysiłków, które podejmowane były z myślą o rozwoju Warszawy.

Osiągnięcia są i będą duże. Oceniamy to nie tylko my, ale oceniają to i obcy, którzy mają możność bezpośredniego zapoznania się z wynikami naszej pracy. Każdy rok pracy — przy wydatnej pomocy Rządu i całego społeczeństwa — będzie zacierał coraz bardziej ślady zniszczeń, aż przyjdzie czas, kiedy będziemy mieli znów piękną, a nawet piękniejszą jeszcze niż była — Warszawę.





płk. Marian Spychalski, pierwszy Prezydent wyzwolonej Warszawy. Następnie mianowany generałem, objął obowiązki pierwszego wiceministra Obrony Narodowej.



Stefan Starzyński, b. Prezydent Warszawy, wsławił się podczas bohaterskich walk o Stolicę we wrześniu 1939 r. Aresztowany w październiku 1939 r. przez Gestapo, został osadzony w obozie i zamordowany.



Stanisław Tołwiński, obecny Prezydent Stolicy, któremu przypadła trudna rola odbudowy miasta.
Karykatury Juliana Żebrowskiego

WESZLIŚMY W OKRES PRZEBUDOWY SPÓŁDZIELCZOŚCI

Jak doniosły pisma codzienne, w Warszawie odbyło się posiedzenie nowej Rady Nadzorczej „Społem" wybranej przez ostatni Główny Zjazd Delegatów. Jednym z głównych celów tego zebrania był wybór nowego Zarządu „Społem".

Tu należy dać parę słów wyjaśnienia. Nowy Zarząd „Społem" nie jest jeszcze Zarządem Centralnego Związku Spółdzelczego jak to często się słyszy w nie dość dobrze poinformowanych kołach. Przebudowa struktury nastąpi w drodze ustawodawczej. Po uchwaleniu odpowiednich ustaw przez Sejm nastąpi wybór Centralnego Związku Spółdzielczego sposobem przewidzianym przez ustawę. Działający dotychczas Zarząd „Społem" miał charakter tymczasowego, nie pochodził bowiem z wyboru samorządu spółdzielczego, który jeszcze w momencie rozpoczęcia działalności powojennego „Społem" nie istniał. Po odrodzeniu samorządu spółdzielczego w całym kraju, co nastąpiło w ciągu roku 1947, odbyły się wybory na wszystkich szczeblach samorządowych, które doprowadziły w rezultacie do powołania lokalnych władz samorządowych w spółdzielczości, jak również Rady Głównej Delegatów. Ta z kolei wybrała Radę Nadzorczą „Społem", zaś Rada Nadzorcza — nowy Zarząd.

Zarząd poprzedni sprawujący władzę w przeciągu 3 lat, przyczynił się do wielkiego rozwoju spółdzielczości zyskując sobie zaufanie w szerokich rzeszach spółdzielczych. Wyrazem tego zaufania był ponowny wybór dotychczasowego prezesa Jana Żerkowskiego na stanowisko prezesa nowego również Zarządu oraz skład tego Zarządu, do którego weszli w większości członkowie Zarządu poprzedniego. Tak więc wybory samorządowe potwierdziły trafność wyboru, dokonanego w swoim czasie przez Kongres Lubelski. Natomiast nowy Zarząd może legitymować się już tym, że powstał z formalnie przeprowadzonych wyborów na wszystkich stopniach spółdzielczości. Jego zadaniem będzie kontynuowanie prac poprzednio prowadzonych, oraz przygotowanie zamierzonych zmian strukturalnych

Prezes Żerkowski udzielając informacji o bieżącym stanie prac Związku podkreślił konieczność utrzymania ciągłości prac i zachowania w całości fachowego aktywu ludzkiego. Chodzi przecież o to, aby aparat Związku licząc się z szybkimi zmianami nie miał tendencji do rozprzężenia dotychczasowych więzów organizacynych, żeby dokonywane zmiany odbywały się bez niepotrzebnych wstrząsów.

Obecny Związek ma przecież stanowić główną podstawę w budowie nowego gmachu spółdzielczości. Poszczególne wydziały przekształcą się w samodzielne centrale branżowe zachowując przecież swój kościec organizacyjny i ludzi. Wśród dotychczasowych pos[illegible] przygotowujących grunt dla nowej struktury najważniejsze było połączenie wydziału rolniczego z przemysłowo - rolnym. W tym stanie rzeczy nowy wydział jest przygotowany organizacyjnie do tego, żeby, po pewnych jeszcze uzupełnieniach stać się samodzielną centralą spółdzielczości rolniczej. Dla uniknięcia niepotrzebnych wstrząsów konieczne jest wytworzenie takiej atmosfery w Związku, by wszyscy fachowcy i dzielni pracownicy na wszelkich szczeblach organizacyjnych mieli poczucie pewności, że w obliczu dokonujących się zmian ich los osobisty nie dozna zachwiania, czy też uszczerbku. Działalność gospodarcza mimo dokonywania zmian ani na chwilę nie może doznać zahamowania.

Jeżeli aparat „Społem" ma stać się trzonem dla nowej organizacji spółdzielczej, to warto zaznajomić się ogólnie przynajmniej z jego ostatnimi osiągnięciami, obrazującymi jednocześnie możliwości tego aparatu.

W ciągu jedenastu miesięcy 1947 r. obroty zewnętrzne „Społem" wynosiły 141,5 miliarda złotych. Do końca roku szacunkowo wyniosły blisko 160 miliardów. Jeżeli oceniać te obroty z punktu widzenia ich szlachetności, to na tym odcinku ujawnia się wyraźna poprawa. W styczniu 1947 r. obroty placówek Wydziału Spożywczego ze spółdzielniami wynosiły 50,5 proc., w listopadzie wzrosły już do blisko 68 proc., podczas gdy obroty z odbiorcami prywatnymi z 40,8 proc. spadły do 26 proc. Również udział towarów zreglamentowanych i monopolowych spada wybitnie na korzyść wolnorynkowych. Koszty handlowe wykazują zdecydowany spadek. Tak np. na placówkach wydziału spożywczego wynosiły one 5,1 proc. w marcu, zaś 4 proc. w listopadzie.

Związek dokonał dużego wkładu w odbudowę. Ogółem wydatkowano na inwestycje budowlane 1 miliard 20 milionów zł w tym ok. 60 proc. na magazyny i elewatory, 27 proc. na biura i mieszkania, 10 proc. na fabryki i młyny, 3 proc. na garaże i warsztaty.

Na zakończenie informacji o obecnej sytuacji Związku prezes Żerkowski wskazał na dwa problemy, które w bieżącym roku muszą być w pełni uwzględnione w działalności Związku. Chodzi tu o kontynuowanie akcji oszczędnościowej i o wszczęcie współzawodnictwa pracy. Tu muszą być stworzone dopiero pewne wzory. Rzecz jasna, że w placówkach typu handlowego współzawodnictwo będzie oparte na zespołach, a nie na jednostkach.

Wśród aktywów, którymi dysponować będzie nowa organizacja spółdzielcza z chwilą rozpoczęcia tej działalności na pierwszym miejscu postawić należy aktyw ludzki, doświadczony już i zahartowany w ogniu pracy, zgrany organizacyjnie i wychowany w atmosferze społecznej, charakteryzującej środowiska spółdzielcze.

S



Prezydium Obrad. Siedzą od lewej: prezes Zw. Rewizyjnego, Pszczółkowski, min. Grubecki, wicemarsz. Szwalbe, płk. Ochab, prezes B. G. S. Kuszewski. Prezes Żerkowski, wybrany ponownie na prezesa „Społem", składa sprawozdanie Film Polski.



Fragment sali obrad Rady Nadzorczej „Społem". Po prawej — sekretarz prezydium Rady, min. A. Rapacki, po lewej — radny Józef Szczęśniak. Film Polski.

NOWY ZARZĄD „SPOŁEM"

W skład nowego Zarządu „Społem" wybranego przez Radę Nadzorczą weszli: prezes — Jan Żerkowski, członkowie Zarządu: Stanisław Chromik, Jan Domański, Bolesław Gałęza, Józef Jasiński, Aleksander Kaczocha, Franciszek Kusto, Józef Niemiec i Adam Przybyliński.

KOLEJARZE BUDUJĄ SPÓŁDZIELCZOŚĆ

Spółdzielczość w okresie, przed drugą wojną światową nie miała w Polsce pomyślnej koniunktury. Wprawdzie, dzięki ludziom oddanym idei spółdzielczej, zwolna rozwijała się, jednak w ogólnej skali życia gospodarczego kraju była czynnikiem nieznacznym. Ówczesny ustrój kapitalistyczny w Polsce nie był dla rozwoju jej odpowiednim klimatem.

Dopiero po wojnie, głębokie przemiany ustrojowe społeczne i gospodarcze kraju, spowodowały, że spółdzielczość stała się jedną z ważniejszych form ustroju gospodarczego Polski Ludowej.

Obecnie spółdzielnie dzięki zmianie klimatu w niezwykłym tempie rozwijają swoją działalność, wzmacniają swe placówki, powiększają obroty, liczbę członków, liczbę sklepów, dążąc do ogólnej prężności gospodarczej.

Nie pozostała w tyle i Krajowa Spółdzielnia Spożywców Kolejarzy. Ze zdwojoną energią leczy swe rany wojenne. Kolejarze słynni z wytrwałości i przywiązania do swego warsztatu pracy nie tylko nie porzucili swej placówki, lecz podobnie jak w roku 1918 i 1945 roku, gdzie włożyli duży wkład energii w odbudowę kolejnictwa, w usprawnienie komunikacji i transportu, tak i teraz zawzięli się, by podnieść swą placówkę spółdzielczą. Rezultaty są już dziś widoczne. Sprawozdanie za rok 1946 wykazało rozbudowę sieci sklepowej, stworzenie nowych wytwórni (piekarnie, masarnie, ciastkarnia, fabryka wód gazowych) ogromny przyrost członków z 6.282 w roku 1944 do 14.567 w końcu 1946 roku, a obecnie liczba członków sięga 40 tysięcy osób. Wraz z rozwojem gospodarki powiększyły się obroty (w porównaniu do 1945 roku przeszło pięciokrotnie, sięgają bowiem w 1947 ponad dwa i pół miliarda złotych) rozszerzył się asortyment, upłynniły remanenty. Dzięki tym osiągnięciom zajęła pierwsze miejsce w spółdzielczości kolejarskiej i wysunęła się w ogóle na czoło placówek spółdzielczych w Polsce.

K.S.S.K. w swej pracy dużą wagę przywiązuje do akcji społeczno - wychowawczej w spółdzielni. We własnym ośrodku w Śródborowie, zorganizowała centralny kurs dla sklepowych oraz kurs buchalteryjny. Również w poszczególnych Obwodach odbywają się kursy dla pracowników. Związek Rewizyjny Spółdzielni okazuje w tym swą pomoc. Po Nowym Roku organizuje się kurs dla zastępców Kierowników Obwodów zaś w Obwodach projektuje się szereg kursów dla personelu sklepowego oraz konferencje informacyjne dla pracujących w Komitetach Sklepowych i Radach Zakładowych.

Akcja świąteczna przewidywała zorganizowanie choinek z rozdawnictwem paczek i niespodzianek, a dla pracowników wigilijny opłatek. Akcję gwiazdkową przy współpracy Zw. Zaw. Kolejarzy Zarząd K.S.S.K. przygotował specjalnie starannie, pragnąc tym urozmaicić i rozjaśnić szare życie i skromne warunki egzystencji rodziny kolejarza.

Kolejarz jak już wspominaliśmy, przywiązany jest do swej instytucji, ceni sobie odrębność spółdzielni, cieszy go wzmożone w niej życie. Kolejarz posiada też dużą zdolność szukania rozwiązań w łonie własnych organizacji.

Spółdzielnia w jego ręku daje rękojmię, że zostaną spełnione wszystkie postulaty wysunięte dla ruchu spółdzielczego przez Plan Gospodarczy Państwa.

W. K.

Quas PRZEPISY

Przepisy, to uważacie mądra rzecz.
Ignorować przepisy nie należy.
Nie jeden źle na tym wyszedł.
W ogóle nie doceniamy przepisów.

Za utrudnianie życia je uważamy w swojej krótkowzroczności.

A przepisy nie są takie głupie.

Owszem, przyklasnąć by wypadało niektórym.

Wchodzisz na przykład do biura. Z naczelnikiem chcesz gadać. A tu na drzwiach przepis:

„Bez meldowania wstęp wzbroniony".

Więc czekasz dwie godziny na woźnego, żeby się zameldować.

Wreszcie się zniecierpliwisz bez meldowania wejdziesz.

No i katastrofa. Bo na kolanach naczelnika maszynistka siedzi, a w takich chwilach naczelnik niechętnie z obcymi rozmawia.

Raczej wyprosi. A potem nieprzychylnie cię załatwi, bo żal ma do ciebie.

I dziwić mu się trudno. Bo obraza przepisu nie zasługuje na uznanie. Trudno nawet zaufanie mieć do człowieka, który łamie przepisy.

Nic dobrego z tego, wierzcie mi panowie, nie wynika.

Kiedy, wbrew przepisom, do tramwaju w biegu wskoczysz, na pewno wierzyciela zaraz zobaczysz.

Kiedy, lekceważąc przepis, spluniesz na schodach, zawsze cię przyłapie jakiś higienista i awanturę zrobi.

Gorsze wypadki bywają.

Wczoraj na brydżu byłem. Gramy, gramy, aż tu moja partnerka nosem zaczyna kręcić.

— Wyjście jej się nie podoba — pomyślałem i po dojściu do ręki spróbowałem innego koloru.

Przeciwnicy zrobili szlema. A gdybym ciągnął pierwszy kolor dalej, leżeliby na trzy.

Bez meldowania wstęp wzbroniony

Co pani takie miny stroi? — pytam się grzecznie.

Ach, nie... Tak coś mi się powietrze nie podoba — odpowiedziała zmieszana.

— Powietrze rzeczywiście nie bardzo... odezwał się mój sąsiad.

— Dawno to zauważyłem, ale krępowałem się poruszać tę sprawę — wtrącił drugi sąsiad.

— Istotnie, nieszczególne powietrze — mówię rozdając karty.

Tymczasem wszyscy wstają.

— Niepodobieństwo wysiedzieć — mówi dama.

A mnie te fochy zaczęły denerwować.

Cóż — mówię — Powietrze, jak powietrze przy brydżu. Papierosy się pali, a kilka osób w pokoju też ma swoje znaczenie.

Grajmy, nie przerywajmy.

— Nie proszę pana — rzekł mój sąsiad.

— Tu coś nie w porządku. Zapach całkiem nie papierosów, a kilka osób nawet przez dwa tygodnie powietrza tak nie zatruje.

— A ja powiem, ot co! — zagrzmiał drugi partner — Obejrzyjmy sobie dobrze obuwie!

Nie mogłem być wyjątkiem.

Zerknąłem szybko na podeszwę i zrobiło mi się niedobrze. Jednocześnie potworny odór uderzył moje nozdrza.

To ja musiałem wdepnąć!

Trzy pary oczu p[illegible] na mnie bez współczucia.

Czytałem w nich zimną surowość.

NOWE KSIĄŻKI

W. Tatarkiewicz — Historia Filozofii. — Tom drugi obejmuje filozofię nowożytną okresu Odrodzenia do roku 1830. Str. 354 z 24 portretami. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Michał Szołochow — Cichy Don.— Powieść. Ukazał się już trzeci tom tej ciekawej powieści współczesnego pisarza radzieckiego w przekładzie W. Rogowicza i A. Stawara. Str. 521. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Stanisław Słoński — Słownik polskich błędów językowych. Str. 282. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Guy de Pourtalès — Życie Liszta. — Przekład Haliny Wierzyńskiej. Słowo wstępne Jarosława Iwaszkiewicza. Str. 281. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Tadeusz Kraszewski — Stach i strach. — Sceniczna rewia bajek w trzech odsłonach. Str. 73. Wydawnictwo Zachodnie.

KRONIKA KULTURALNA

„SPOŚRÓD wielu ślubów, jakie się odbyły ostatnio w Sosnowcu, jeden zasługuje na specjalne wyróżnienie ze względu na jego rekordowe tempo. Pan młody — urzędnik państwowy; panna młoda — urzędniczka D. Z. P. W. Poznali się w Savoyu na dancingu. On już po pierwszym tańcu wyznał swej partnerce, że ją kocha i poprosił o rękę. W drugim tańcu ona wyraziła zgodę na ślub, a następnego dnia w godzinach popołudniowych było już po ślubie cywilnym". Taką sensacyjną wiadomość podają pisma prowincjonalne. Istotnie, tempo jak w „Jasnych łanach", gdzie w pięć minut odbywa się elektryfikacja i cywilizacja. A kiedy rozwód? — można by zapytać.

SPOŁEMOWCY piszą książki, i to nie tylko fachowe, o pionierach z Rochdale o ojcach ruchu spółdzielczego w Polsce albo o zaletach masła spółdzielczego ale piszą również książki artystyczne porządne powieści dla młodzieży. Taką powieścią jest „Wielki sztorm", wydany niedawno przez „Czytelnika", pióra Ryszarda Manugiewicza, pracownika „Społem" w Łodzi. Jest to historia awanturniczego Franka Kądziela, który w chwili wybuchu wojny ma lat 13, i ze zdobytej przez Niemców Gdyni uchodzi w daleki świat, ażeby, doznawszy rozlicznych przygód, po siedmiu latach powrócić do ojczyzny. Powieść jest zajmująca i pracowicie napisana; dziwić się trzeba, gdzie Manugiewicz, przy swych absorbujących zatrudnieniach społemowskich, znalazł tyle czasu na twórczą pracę. Ale zato staje się on wzorem kulturalnego pracownika, który umie połączyć pożyteczne z przyjemnym. Można by jego książce wytknąć finał, nieco skrzywiony, gdzie żywioł propagandowy występuje nadto jaskrawo, ze szkodą dla artystycznego. Wszelako należy przypuszczać, że talent Manugiewicza, w następnych jego utworach, dopasuje do siebie i zharmonizuje obydwa żywioły.

St. Łatka

GOJAWICZYŃSKA

Umysły pozytywne mają zamiłowanie do schematyzowania i szufladkowania zjawisk życia i natury, do nalepiania na szufladkach etykietek niczem w szafach aptekarskich. Np. August Comte posegregował wiedzę ludzką na różne gałęzie, dziedziny, działy i poddziały, i ustawił to wszystko w pewnej hierarchii. Niewdzięczna potomność wywróciła cały jego system jako sprzeczny z rzeczywistością. Wielki przyrodnik Linneusz przeprowadził podział świata roślinnego na typy, gromady, rzędy, rodziny, rodzaje i gatunki określając liczbę istniejących gatunków na dziesięć tysięcy. Potomność poczęła go prostować i poprawiać i po dziś dzień narachowała już sto tysięcy gatunków. A co może być za lat sto?

Żółkiewski usystematyzował niedawno współczesną naszą literaturę w cztery główne szablony i nadał im stosowne nazwy, mianowicie: 1) drobnomieszczańskiej trywialności, 2) próżni psychologicznej, 3) ekspersjonistycznego epigonizmu i 4) małego realizmu. Odpowiednio do tego zaszeregował naszych pisarzów, zamykając np. Żukrowskiego w szufladce „trywialności", a Gojawiczyńską pakując do szuflady „małego realizmu". Po czym zatrzasnął szafę literatury.

Jeśli Lenin na pytanie, co myśli o Majakowskim i Puszkinie, wypowiedział historyczne słowa: „Po mojemu Puszkin łucześ", sądzę, że i mnie wolno oświadczyć: po mojemu Wolter i Goethe, nie uchybiając, lepsi są od Żółkiewskiego, zwłaszcza, że go już porównałem z Comtem i Linneuszem. Otóż Wolter, gdy miał sformułować raz jakieś kategoryczne twierdzenie, wyrzekł nie mniej historyczne słowa: „Je tremble... car ce que je vais dire ressemble à un système": drżę... ponieważ to, co mam powiedzieć, podobne jest do systemu. Goethe zaś mawiał tak: „Mit Worten lässt sich ein System berliten": za pomocą słów można zawsze tworzyć systematy. A pisarzom zwykł był dawać taką radę: „Greiff nur hinein in's volle Menschenleben"! — starajcie się przeniknąć pełnię życia ludzkiego, albowiem życie jest bardzo złożone i nie da się łatwo szufladkować. Literatura zaś jest odbiciem i wyrazem życia.

Zajmijmy się teraz małym realizmem. Co to takiego? Jaki to typ, gromada, rząd, rodzaj czy gatunek literatury? Żółkiewski tak go definiuje: „Jest to konstrukcja losu ludzkiego, oparta nie o wielkie realia społeczne, czynniki ustrojowe, determinujące los jednostki, ale oparte na realiach, które faktycznie, w sensie fizycznym, mieszczą się w kręgu życia bohatera: stąd ten przerost drobiazgów, stąd ten duszny zapaszek intymności, stąd właściwie społeczna izolacja postaci powieściowych". Można by ryzykować tezę (je tremble...), że w ten sposób, potępiając mały realizm, stawia się pisarzom wymagania prawie niewykonalne. Albowiem „wielkie realia społeczne i czynniki ustrojowe determinujące los jednostki" nie stanowią zjawisk codziennych (a literatura, to jest zwykłe Menschenleben): można by rzec, że to są zjawiska epokowe; występują one w życiu ludzkości od czasu do czasu powodując rewolucję i olbrzymie nieraz przemiany, ale potem stają się znowu codziennością, zaczynają się mieścić w kręgu życia ludzkiego i jego intymnych drobiazgów, dopóki nowe, inne czynniki nie wstrząsną znowu ludzkością. „Błogosławion artysta, który nawiedził ten świat w jego chwilach przełomowych" — powiedział Tiutczew. Wszelako takich wybrańców przeznaczenia jest niewielu. Większość pisarzów żyje w zwyczajnej rzeczywistości, jak większość „realiów" bywa chlebem powszednim: gdy się chłopu ochwaci koń, gdy mu się krowa zhuka, że trzeba ją dorżnąć, to są dla niego „wielkie realia", i pisarz, który umie swą konstrukcję powieści chłopskiej oprzeć wiernie i z talentem na takich i innych podobnych realiach, będzie dobrym pisarzem. Zdaje się, że dla wielu z nas, nawet teoretyków rzeczywistości, „wielkiemi realiami" bywały kryształy i dywany, wyszabrowane na Ziemiach Odzyskanych, a nie zagospodarowanie tych Ziem lub odbudowa Warszawy. Gdy człowieka chwyta atak kamieni żółciowych, to są również „realia", aczkolwiek może im towarzyszyć duszny zapaszek fizjologiczny; takie realia godne są również opisu literackiego, tym bardziej, że niejednokrotnie determinują one los nie tylko jednostki, czyniąc z niej np. „pod wpływem choroby" osobnika aspołecznego, ale determinują nieraz losy narodów: gdyby nie okropny atak wątroby, któremu uległ, jak wiadomo Napoleon III pod Sedanem, mimo iż, zacisnąwszy zęby, starał się go całą siłą woli opanować, bitwa byłaby przez Francuzów wygrana i, kto wie, może by nie było potem pierwszej wojny światowej, a potem hitleryzmu... Nos Kleopatry również, jak wiadomo zaważył na dziejach imperium rzymskiego.

Przekreślając „mały realizm", trzeba by przekreślić trzy czwarte literatury światowej. Molier też jest małym realistą, bo jego Harpagon żyje w ciasnym kręgu skąpstwa, a Tartufe w dusznym zapachu trywialności. Podobnie żyje pani Bovary Flauberta czy bohaterowie Dickensa i Conrada, albo Ślimak i Wokulski Prusa. Zapachem, jeszcze bardziej zatęchłym, oddychają Karamazowy, Śmierdiakow i Raskolnikow Dostojewskiego, albo Chlestakow i Cziczikow Gogola. Czechow w swych powszednich nowelach — to „mały realista". A jednak ci pisarze pozostają na zawsze klasykami literatury. I będzie nim również Aleksy Tołstoj ze swoją „Drogą przez rzekę", ten tiutczewowski szczęśliwiec, któremu los pozwolił żyć w epoce wielkich przewrotów i przeobrażeń rewolucji rosyjskiej.

Spostrzegam się, że nic jeszcze nie napisałem o Gojawiczyńskiej, choć nazwisko jej położyłem w tytule felietonu. Gojawiczyńska jest małą „realistką". Zdaje mi się, że pisząc o małym realiźmie, piszę również o niej. Umie ona wypatrywać realia, mieszczące się w kręgu życia ludzkiego. Ale nie mam zamiaru brać Gojawiczyńskiej w obronę, której nie potrzebuje. Chciałbym tylko dać wyraz zdziwieniu, że prawie się nie pisze u nas o jej twórczości, gdy o plotkach literackich układa się nieraz tasiemce i plany. Wszakże Gojawiczyńska należy, pomijając jej twórczość przedwojenną, do tych nielicznych naszych powieściopisarzów, którzy pracują rzeczywiście po wojnie: jej „Krata" i „Stolica" powstały w r. 1945 i 1946, obecnie pisze ona trzecią wielką powieść. Natomiast przeważająca ilość opublikowanych powieści naszych literatów, to rzeczy, pisane czasu wojny i okupacji: „Mury Jerycha" czy „Noc", „Najeźdźcy" czy „Jezioro Bodeńskie", „Noc Huberta" czy „Sprzysiężenie" czy też „Bolesław Chrobry". Ponadto Gojawiczyńska jest tłumaczona na czeski i włoski i — wnosząc z tamtejszych recenzji — ceniona wysoko. Czemu nasi krytycy nie interesują się nią w stopniu, proporcjonalnym do jej twórczości?

Rzeczywistość nasza jest potrosze paradoksalna. Gojawiczyńska ukazuje nam tzw. szarego człowieka, jakim jest naprawdę tj. człowiekiem. Przed wojną nasza „inteligencka" krytyka kokietowała szarego człowieka i, kokietując, wykoślawiła go, zbanalizowała. Dziś „inteligencka" krytyka robi z nim mniej więcej to samo a Gojawiczyńska w „Rajskiej jabłoni" dowodząc, że „inteligencja polska nie zdała egzaminu ze swej roli przodującej", w tych słowach ujmuje jej istotę: „inteligenckość" to coś specyficznego, to nawet **czasem postępowość**, to nawet **kultura**, to nawet tolerancja i wszystkie ponętne zalety, wypływające jednakże nie z wielkich charakterów, a **z braku charakteru**". Może dlatego dzisiejsza krytyka inteligencka niezbyt się rwapi do twórczości Gojawiczyńskiej?

Jerzy Wyszomirski

Nasze korespondencje zagraniczne

PARYŻ W ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

Tegoroczne święta Bożego Narodzenia upłynęły w nadzwyczajnej stolicy pod znakiem obrad „Assemblé Nationale" nad projektami min. Mayer a uzdrowienia finansów francuskich. Podwyżka gazu, elektryczności, środków transportu, podatków, zwolnienie 150.000 pracowników państwowych oraz rozpisanie wielkiej po życzki wewnętrznej — oto główne linie planu rządowego, mocno krytykowanego z ław poselskich.

W dzień wigilijny dzienniki przyniosły wielkimi literami drukowane oświadczenia posłów rolników ostro sprzeciwiających się projektowanym reformom, do oświadczeń których dołączyli się przedstawiciele prawicy, centrum i skrajnej lewicy. Min René Mayer często był pod obstrzałem krytyk własnej partii. Wreszcie po pewnych drobnych zmianach projektu „L'Assemblé Nationale a adopté" plan uzdrowienia finansów według recepty min Mayera 300 głosami za — 268 przeciw.

Tymczasem ulica paryska zmieniła swój wygląd. Szerokie trotuary bulwarów pokryły się niezliczoną ilością drewnianych bud, silnie oświetlonych, w których dostać było można wszystko, począwszy od przyborów toaletowych, wyrobów papierniczych, galanteryjnych, aż do słodyczy włącznie. Niezrażeni silną konkurencją witryn sklepowych, sprzedawcy głośno zachwalają swój towar. Kupcy sklepowi niechętnym okiem patrzą na grupki przechodniów, skupionych w „budach" na bulwarach. Na rogach ulic powyrastały, niczym grzyby po deszczu, karuzele, skąd głośna muzyka zlewa się z radosnymi okrzykami dziatwy. Ulica żyje i tętni życiem. Choinek raczej mało, lecz co kilkaset metrów stoi sprzedawca gorących kasztanów lub ostryg i cytryn.

W wielkich magazynach duży ruch. Tłumy cisną się, oglądając z zaciekawieniem wspaniałe wystawy. Kupujących jednak jest mało. Chodzą, oglądają, pytają o ceny i kiwając smętnie głowami, suną dalej. Czasy są ciężkie i kwota, przeznaczona na podarki świąteczne, musi być jak najracjonalniej zużyta.

Z aprowizacją na święta jest ciężko dla przeciętnego mieszkańca Paryża. Ceny są wysokie na produkty żywnościowe, a wielu artykułów w ogóle dostać nie można, jak np. m[illegible]

Toteż dla gospodyń święta są najtrudniejszym egzaminem zdolności kulinarnych, a dla gospodarza domu — sprawdzianem umiejętności uzyskania na święta odpowiedniej zaliczki. Trzeba być „debrouillard" i Francuz mrucząc coś pod nosem, żując ośliniotnego do niemożności papierosa, mówi: „Ca va Cherie", z dzielną miną taszczy najtańszego indyka, jakiego udało mu się dostać za 1.500 fr.

Małe dzieci i najbardziej nawet dorosłe żony wierzą jeszcze i we Francji w „Père Noel", przyprawiając tym niemało kłopotu z natury rzeczy oszczędnym i poważnym panom domu. Wszystkie te jednak zmartwienia Francuz bierze pogodnie i wesoło a tanio. W dzień wigilijny, tj. 24, je się mało, głównie ostrygi mają powodzenie. Po Pasterce natomiast zaczyna się uroczysta kolacja z indykiem, jeśli kieszeń gospodarza na to pozwala, a po kolacji zabawa do samego rana. Zabawa albo w domu u siebie lub u przyjaciół, albo najczęściej w jakimś wesołym lokalu, których we Francji, a w Paryżu w szczególności, nie brak. I co najciekawsze, pomimo naprawdę ciężkich czasów, nocne lokale były przepełnione. Paryż lubi się bawić i to dobrze. Długie suknie pań, wytworne „smoki" panów sprawiały wrażenie, iż na jedną noc, na tradycyjny „reveillon" zapomniano o kłopotach. Około 20 procent to jednak cudzoziemcy, bawiący się w najelegantszych lokalach. Wszędzie konsumcja skromna i droga. Jedna butelka szampana na 4 osoby i całą noc za 2.000 fr. W kraju niekończących się winnic i doskonałych zbiorów bieżącego lata— to najlepsze świadectwo ciężkich czasów. Wrodzone jednak poczucie humoru i umiejętność dobrej zabawy sprawiły, iż noc 24 na 25 grudnia paryżanie spędzili miło, odsypiając następnego dnia świątecznego z bólem głowy i przysłowiowym „gueule de bois", naszym warszawskim kacer-jamerem, zaległości w spaniu. Natomiast nasz drugi dzień świąt, tj. 26 grudnia, jest dniem normalnej pracy we Francji.

Okres świąteczny wśród licznej Polonii we Francji był obchodzony po polsku. Dopiero w czasie świąt widać z całą wyrazistością jak bardzo wychodźstwo nasze jest przywiązane do tradycji. W niezliczonych domkach polskich górników, mieszkaniach robotników rolnych, szkołach polskich i organizacjach, tradycyjne drzewo z szopką, uroczysta wigilia z opłatkiem i pasterką. W Ambasadzie R.P. w Paryżu praktyczna inowacja, połączenia konieczności urządzenia przyjęcia dla Korpusu Dyplomatycznego z pożytecznym zapoznaniem ich z utworami kompozytorów polskich, będących w Paryżu: Palestra, Szałowskiego i Spisaka. W ten sposób, oprócz zaproszonych dyplomatów, liczni, najwybitniejsi przedstawiciele świata muzycznego Francji mieli doskonałą okazję zapoznać się z dziełami naszych najlepszych współczesnych kompozytorów. Poza tym L'Amitié Franco-Polonaise w Paryżu urządziło wystawę i sprzedaż polskich wyrobów ludowych. Eksponaty sprowadzono z kraju. Wystawa miała szalone powodzenie, tak iż w godzinę po otwarciu 90 proc. eksponatów było sprzedanych. Największym powodzeniem cieszyły się chyba wyroby góralskie, a zakopiańskie w szczególności. Szkoda, iż jak na takie centrum zainteresowania, jakim dla „L'Artisanat d'Art" jest Paryż, eksponatów było stosunkowo mało.

Być może, nie bez znaczenia dla przebiegu świąt Bożego Narodzenia była znośna pogoda. Przeciętna temperatura plus 5 st. zachęcała rozgrzanych zabawą mieszkańców Paryża do gremialnych spacerów po bulwarach, ze śpiewem i wesołymi okrzykami na ustach.

Mirosław Wierzbicki



W końcu grudnia ub. r. odbył się w Paryżu konkurs operowy „corps de ballet". Palmę pierszeństwa zdobyła w nim Jacqueline Moreau.

Tu mówi Londyn

NOWY ROK — ROKIEM OPTYMIZMU

Okres świąt i Nowego Roku zaznaczył się wzrostem optymizmu w Anglii. Londyn przyjął z zadowoleniem fakt podpisania umowy gospodarczej sowiecko - brytyjskiej i witał niemal z entuzjazmem powracającego z Moskwy szefa delegacji brytyjskiej. Min. Wilson przyćmił swym sukcesem Bevina, którego popularność wyraźnie spadła po niepowodzeniach konferencji czterech. Anglicy są realistami i cenią konkretne osiągnięcia.

Drugim powodem do optymizmu był komunikat brytyjskiego ministra opału, że produkcja węgla osiągnęła w 1947 r. zamierzoną wysokość 200 milion ton. Daje to nadzieję na eksport, który ruszyć ma na podbój rynków europejskich.

Noworoczną niespodzianką dla licznej rzeszy emigrantów polskich w Anglii, którzy zbyt długo namyślali się nad powrotem do Polski, był komunikat Konsulatu Generalnego w Londynie, informujący o nowych warunkach powrotu emigrantów do kraju. Z dniem 1 stycznia 1948 r. za kończony został okres bezpłatnego przewozu emigrantów polskich z Anglii do Polski. Kto po tym terminie powraca będzie musiał płacić za swój przejazd.

Koszt biletu okrętowego ustalony został na 18 funtów. Raz w miesiącu organizowany będzie transport na warunkach ulgowych po 9 funtów od osoby, a dzieci płacić mają połowę. Kto będzie chciał z tej ulgi skorzystać, zapisze się w konsulacie na zbiorowy przejazd. Nasz transatlantycki okręt „Batory" będzie raz w miesiącu zabierał repatriantów z por tu Southampton do Gdyni.

Polskie Tow Kulturalno - Społeczne w Wielkiej Brytanii zgotowało miłą niespodziankę gwiazdkową dla angielskich przyjaciół Polski demokratycznej, wyświetlając w „Gaumont British Theatre" film o Polsce współczesnej. Sala była wypełniona po brzegi publicznością, która z dużym zainteresowaniem obserwowała reportaże z życia naszego kraju.

Ponad 170 tys. Polaków przebywa dotychczas w Anglii. Z tej liczby około 40 tys. — to emigracja przedwojenna, osiadła tu na stałe, głównie rzemieślnicy — stolarze, krawcy, hutnicy i fryzjerzy. Korpus Rozmieszczenia dla b. żołnierzy W. P. skurczył się ze 110 do 60 tys. pomimo za biegów klik politycznych, aby odwieść żołnierzy od powrotu do kraju. Sytuacja tych co pozostali staje się coraz trudniejsza. Prasa angielska pisze, że żyją „nie orząc i nie prządąc".

Na koniec tej korespondencji kilka drobiazgów z poloniki londyńskiej. Drobne ogłoszenia z polskich pism w Londynie:

„Polski kuśnierz Langer, Notting Hill Gate, London, radzi zaopatrzyć się w futra przed wyjazdem do kraju, gdyż w Polsce zima zawsze sroga".

Gdzie indziej czytamy: „Prasę i książki z Polski poleca „The Reader Ltd. — 118 Great Portland Str. London" — a wreszcie: Firma Asmidat Ltd. 16 Douglas Str. London" wysyła na zamówienia lekarstwa do Polski".

Nic może tak wiernie nie oddaje nastrojów emigracji, jak lektura drobnych ogłoszeń w polskiej prasie emigracyjnej.

Parę lat temu, a nawet jeszcze przed rokiem pisma polskie w Anglii pełne były reklam luksusowych restauracji, dancingów i kabaretów, które gorąco zapraszały gości polskich na wyborowe zakąski, wytworną kuchnię kontynentalną i kusiły do borową orkiestrą do tańca.

Skończyły się widać resztki magnackich fortun emigracyjnych, schudły portfele stałych bywalców luksusowych restauracji i kabaretów, i świat o nich zapomniał. Nikt już nie kusi emigracyjnych oficerów i urzędników dancingiem i kuchnią francuską. W to miejsce pojawiły się bardziej praktyczne ogłoszenia o lekarstwach dla kraju i nowych książkach z Polski.

Emigracja nasza przechodzi okres większej odmiany.

Edis



18 letnia Kay Matthews zapowiada Nowy Rok 1948 w restauracji Trocadero w Londynie.

ODBUDOWA-ODBUDOWA

W 1945 r. przy Delegaturze Zarządu „Społem" w Białymstoku powstał Dział Rolniczy, który w połowie 1946 r. przekształcony został w samodzielny Okręgowy Oddział Rolniczy (Białystok, ul. Artyleryjska 2/3). Oddział zatrudnia 59 pracowników i prowadzi działy: artykułów budowlanych, materiałów pędnych, nafty oświetleniowej, opakowań, maszyn i narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, żelaza i galanterii żelaznej, nasion, ziemniaków, plantacji, nasion oleistych, ziół leczniczych użytkowych oraz środków ochrony roślin.

Okręgowy Oddział Rolniczy pracuje w zasięgu wojewódzkim, zaopatrując w towary 9 oddziałów powiatowych i 1 składnice „Społem" oraz spółdzielnie rolniczo-handlowe i „Samopomocy Chłopskiej" z terenu powiatu białostockiego. Pośrednio lub bezpośrednio współpracuje z Oddziałem 110 spółdzielni wiejskich. Współpraca ze spółdzielniami układa się do brze. Podkreślić należy trudne warunki komunikacyjne, w jakich pracuje Oddział: rzadka sieć kolejowa, brak dostatecznej ilości dróg bitych.

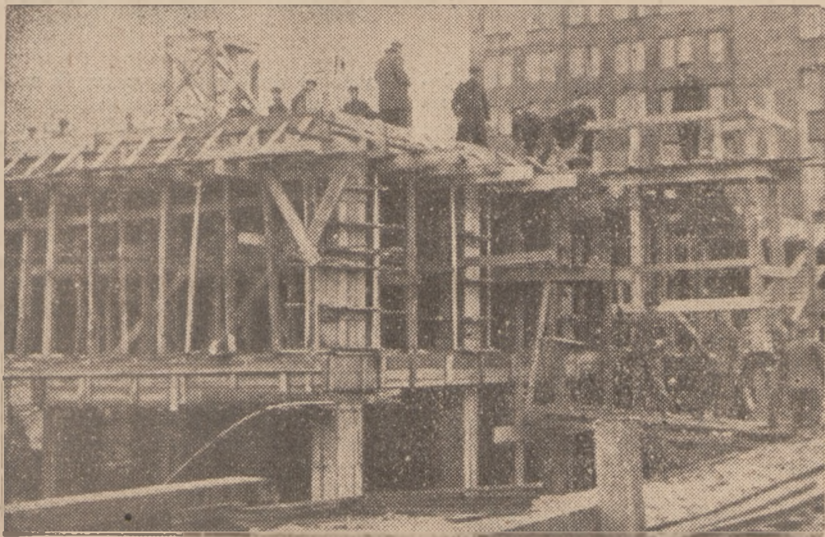
Mimo tych trudnych warunków Oddział w czasie od 1.I. do 31.X. 1947 r. zdołał rozporowadzić: 7.825 ton cementu, 1863 tony wapna, 1,874.609 kg nafty, 923 tony żelaza, 334 tony blachy cynkowej i ocynowanej, 241 tony odlewów piecowych, garnków żelaznych i buksów wozowych, 58 wagonów galanterii żelaznej oraz 8.564 sztuk różnych maszyn i narzędzi rolniczych. Ponadto w 1947 r. skupione 2.500 ton ziemniaków z czego 1.000 ton wiosną na siew i 1.500 ton jesienią na aprowizację Śląska.

Preliminowane na 1947 r. obroty już w październiku zostały przekroczone, a 93 proc. tych obrotów — to handel ze spółdzielniami. Oddział wyróżnia się tym, że przypada w nim najwyższa stawka obrotu na jednego pracownika.

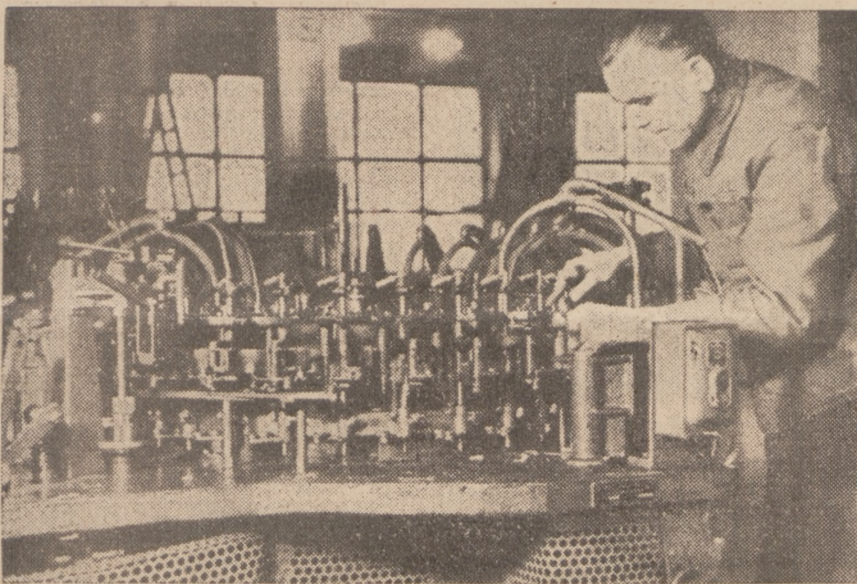
Magazyny Oddziału rozlokowane są w 2 punktach miasta. Są niedostateczne i nie odpowiadają potrzebom Oddziału.

Z dniem 1 sierpnia 1947 r. z Okręgowego Oddziału Rolniczego wyodrębniony został Okręgowy Oddział Zbożowo-Młynarski, który przejął całkowity obrót zbożem. Kierownikiem Oddziału jest ob. Antoni Rudziejewski. pracujący w spółdzielczości od 1918 roku. (a)

Film TYGODNIA



Budowa 14-piętrowego gmachu Ministerstwa Komunikacji przy ul. Chałubińskiego. Na zdjęciu: druga kondygnacja oszalowana i zabetonowana. SAP.



Montaż automatu do zestawienia poszczególnych części żarówki w jedną całość. Monter Puchalski, wieloletni pracownik firmy „Philips". SAP.



Na zdjęciu ex-król rumuński, Michał ze swą matką w Lozannie. SAP.

100 WIERSZY O SPORCIE

NASI „PRZYSIĘGLI" NAUCZYCIELE SPORTU, Czesi, dali nam jeszcze jedną lekcję, tym razem w pływaniu. W meczu w Poznaniu tylko naszym pływaczkom udało się wygrać, jedyną zresztą, konkurencję, w Warszawie zaś honor Polski środkowej obronili... juniorzy w sztafecie. Dla ścisłości należy podać, że chłopcy nasi startowali w tej sztafecie z... pływaczkami CSR, bowiem dla naszych miłych gości nie można było znaleźć u nas tej samej płci. Pływaczki CSR były tak uprzejme, że do innej sztafety, tym razem złożonej już z tej samej płci, „wypożyczyły" nam swoją zawodniczkę, ale i to nie pomogło.

Poprawa rekordów życiowych naszych pływaków była dodatnią stroną obu meczów.

DLA OSŁODZENIA GORYCZY ciągłych porażek z Czechosłowacją warto zauważyć, że sportowcy CSR mają doskonałą pozycję na arenie międzynarodowej, którą dyskontują na całej kuli ziemskiej. Gdzie ich nie ma? Ping-pongiści, z mistrzem świata Vaną na czele, grali ostatnio w Bombaju, światowej sławy długodystansowiec Zatopek biegał i wygrał w Algierze, tenisiści, ze znakomitym Drobnym odbyli tournée po USA, Meksyku i Indiach, 5 zespołów piłkarskich przebywa w Afryce, hokeiści od dawna rozjeżdżają się po Anglii, a łyżwiarze trenowali w Norwegii. Powie może ktoś, że nie trudno wojażować po całym świecie, mając sportowców tej klasy, co Drobny, Zatopek, czy Vana. Słusznie, z takimi sławami łatwo o kontrakty na całej kuli ziemskiej, ale żeby doczekać się zawodników światowej sławy, trzeba utrzymywać stosunki międzynarodowe, tak, jak to robią nasi pobratymcy z CSR, którzy dla swoich sportowców znajdą w porę i paszporty i dewizy.

REPREZENTACJA POLSKI na zimową olimpiadę w St. Moritz skrystalizowała się już o tyle, że wiadomy jest udział 11 narciarzy z największą naszą nadzieją, Stanisławem Marusarzem na czele. Udział hokeistów będzie zależny od wyników ich w tournée po Czechosłowacji i Szwajcarii. Wiele mówi się również o starcie jedynej naszej przedstawicielki łyżwiarstwa, mistrzyni Polski w jeździe figurowej, J. Dąbrowskiej, która znalazła wysokiego protektora swego talentu w osobie ambasadora Polski w Londynie, Jerzego Michałowskiego. Łyżwiarka nasza przebywa stale na placówce dyplomatycznej w Londynie, gdzie trenuje już od dawna.

NASZE NACZELNE WŁADZE SPORTOWE nie są łaskawe dla łyżwiarzy, bo nie udzieliły pozwolenia najlepszym zawodnikom w jeździe figurowej na wyjazd na trening na sztucznych lodowiskach w Czechosłowacji, mimo ponętnego zaproszenia Czechów. Okazja była bardzo na czasie, bo w Polsce zima jest niby na lekarstwo, poza tym zaś można by było spróbować szczęścia i w St. Moritz, zwłaszcza, że nie szczędziło się pół milionowych kosztów, jakie pociągnęło za sobą przygotowanie i ekspedycja jednego narciarza. Żeby jednak było trudniej zgadnąć, dziś już zapowiada się pewny udział w letniej olimpiadzie wioślarza Verey'a, który będzie miał m. in. trening kondycyjny w górach oraz zapewnia się dla niego kupno łodzi w Anglii. O kosztach dowiemy się niebawem.

TRZYDNIOWY TURNIEJ SPÓŁDZIELCZYCH KLUBÓW SPORTOWYCH w piłce ręcznej o nagrodę przechodnią prezesa „Społem", Jana Żerkowskiego, przyniósł zdecydowane zwycięstwo Warszawie, która zajęła pierwsze miejsce w siatkówce żeńskiej i męskiej, w koszykówce żeńskiej i drugie miejsce w koszykówce męskiej, ustępując tu ligowemu zespołowi łódzkiego TUR'u. 48 meczów i udział 210 zawodników, świadczą wymownie o rozmiarach imprezy spółdzielców.

Zygmunt Weiss

Odpowiedzi Redakcji

P. Bolesław Polakowski — Pasym pow. Szczytno. Książkę Wł. Zambrzyckiego pt. „Mgła nad Skaldą" wysłaliśmy 18 grudnia ub. r. Prosimy o wiadomość, czy Pan ją otrzymał. Drugą część listu wyjaśnimy przy okazji w „Kąciku językowym".

P. Marian Trawiński — Poznań, ul. Klonowicza 8 — 8. Nie należy zrażać się chwilowymi niepowodzeniami, wierzymy, że i Panu wreszcie szczęście dopisze. Za życzenia dziękujemy.

P. Adkadiusz Jackiewicz — w. Grzybowa poczta Wesoła k/Warszawy, ul. Leśna 8. Prenumeratę liczymy Panu od pierwszego stycznia br., za drugi kwartał może Pan opłacić prenumeratę w końcu marca br.

P. Eugeniusz Zakrzewski — poczta Sypniewo k/Ostrołęki pow. Maków M. Książkę Emila Zora pt. „5 Runda" wysłaliśmy 18 grudnia ub. r. Prosimy o wiadomość, czy Pan ją otrzymał.

P. Ryszard Ejchelkraut — Ostrów Mazowiecki, ul. Mickiewicza 26. Prośbę Pana przy okazji załatwimy.

P. Zbigniew Stasiłowicz — Bydgoszcz, ul. Jackowskiego 25 m. 3. Po zebraniu odpowiednich informacji zawiadomimy Pana o wyniku naszych badań.

P. Włodzimierz Zoller — Pabianice, ul. Kościuszki 29 — 6. pisze: „Śledzę z zainteresowaniem rozwój pisma „Tydzień". Muszę przyznać bezstronnie, jak również i koledzy, że poziom pisma podnosi się stale". Proponuje Pan również wprowadzenie nagród książkowych zamiast pieniężnych za „Sklerozę". Propozycja słuszna i wkrótce ją zrealizujemy.

P. Skulski — Lipno niezadowolony jest, że zmieniliśmy okładkę na rotograwiurową. Dziwimy się bardzo, gdyż w obecnej szacie „Tydzień" podoba się bardziej czytelnikom. Poza tym „Kronika kulturalna" i „Tak i nie" będą zamieszczane w „Tygodniu" nadal.

P. Bogdan Filipiak — Warszawa ul. Brukowa Nr 30. Prenumeratę wysyłamy Panu od 1 grudnia b.r.

P. Feliks Gralow — Jerzyce p-ta Krzycko pow. Leszno Wlkp. „Nowe Pieśni" Chlondowskiego zamówić można listownie u autora w Warszawie, ul. Ks. Siemca 6.

Pracownicy Robotniczej Spółdzielni Wytwórczo - Szewskiej „Wyzwolenie" Piotrków, ul. Czarnieckiego 7. P. Władysław Kwolczak — Przemyśl, ul. Potockiego 4. P. Basia Kamińska — Płock, ul. Dobrzyńska 27. P. Katarzyński Jerzy — Koźmin Wlkp., P. Teresa Tumidajewicz — Gorlice, 3-go Maja Nr 9. P. Janusz Jankowski — Mętków pta. Babice k. Alwerni. P. Izabella Kostańska — Wrzesześ, ul. Grunwaldzka 135., P. Julian Pawlak — Grodziec pow. Konin. Za życzenia dziękujemy.

P. Marysia Łaska — Płock, ul. Kościuszki 2. Prośbę załatwiliśmy pozytywnie. Za życzenia dziękujemy.

P. Stanisława Josek z Żywca pisze: „Drogi Tygodniu". Pisze do Ciebie córka rolnika z górskiej wioski żywieckiej. Przywędrowałeś drogi „Tygodniu" do naszej wioski pierwszy raz na św. Mikołaja... Skoro wziętam do ręki „Tydzień" pierwszy raz od razu bardzi mi się to pismo podobało i postanowiłam go stale czytać, pomimo, że mało jest w nim artykułów przeznaczonych dla nas młodszych wielbicieli „Tygodnia". Szanowna Redakcjo, proszę Was, abyście w każdym numerze „Tygodnia" drukowali coś dla nas... U nas na wsi tak trudno o dobrą książkę, a my tak bardzo pragniemy się uczyć, pragniemy światła mądrości...".

Cieszymy się, że „Tydzień" podoba się i młodym czytelnikom i w miarę wolnego miejsca będziemy starali się wprowadzić dział młodzieżowy. Znając głód książki, zwłaszcza na wsi, po większymy ilość nagród książkowych, tym bardziej, że w najbliższym czasie ogłosimy nowe ciekawe konkursy.

H. Góral i M. Krzywda

Skok przez

Dochodziło południe. W kasynie portowym na lotnisku, wśród załogi pasażerskiego samolotu „KN 473", zwanego popularnie „Kubuś Nicpoń", panował przygnębiający nastrój. Załoga nie miała lotów od przeszło dwóch tygodni i nudziła się śmiertelnie. Początkowo wałęsali się bez celu po Kairze, w mairę jednak topnienia gotówki wycieczki do miasta stawały się coraz rzadsze, a humory coraz czarniejsze. Mając dużo czasu do myślenia, odgrzebywali w głębi duszy dawne wspomnienia, martwili się o rodziny i filozofowali na temat zakończenia wojny. A że z myślenia i filozofii nigdy nic dobrego nie mogło dla lotników wyniknąć, systematycznie co wieczór miewali napady „chandry", którą topili w morzu whisky, nawet bez wody sodowej.

Na razie zbyt było gorąco na walkę z chandrą, więc siedzieli w kasynie i grali w amerykańskiego pockera w kości. Dla tradycyjnej partyjki bridge'a brakowało im pierwszego pilota, który był dotąd na odprawie w porcie, a teraz stał we drzwiach i z politowaniem przyglądał się znudzonym minom kolegów. Pierwszym pilotem byłem właśnie ja.

No chłopcy, mam dla was sensacyjną wiadomość — zawołałem. Nawigator Bill, bardzo miły, flegmatyczny Australijczyk, rzucił naprzód kości, potem spojrzenie na mnie, wreszcie podrapał się po chudym policzku, na koniec wycedził:

— Udało ci się pożyczyć z pięć funtów?

Zlekceważyłem jego pytanie i ciągnąłem dalej.

— Wyobraźcie sobie, uruchomiono nową linię lotniczą Kair—Johannesburg i dziś o drugiej w nocy właśnie my — słyszeliście — właśnie nasza załoga leci na pierwszy regularny lot!

Miny moich kolegów ożywiły się, zewsząd posypały się pytania.

— Heniek, a jak długo będzie trwał lot?

— A czy po drodze będzie można zapolować?

— Heniuś, a czy to prawda, że Afrykandrzy obdarzają diamentami każdego Europejczyka, który po raz pierwszy wstąpi na ich ziemię?

Rozzłoszczony ostatnim naiwnym pytaniem naszego radiotelegrafisty Stacha, wybucham.

— A idźcie do wszystkich diabłów, oni wam prędzej udzielą informacji, ale zanim to zrobicie, chodźmy obłatać „Kubusia" przed startem.

Podczas przygotowań czas upłynął niesłychanie szybko i nim zdążyliśmy opamiętać się, nadeszła godzina 2.00.

Start. Ciemna, duszna noc afrykańska wchłania samolot, ostatnie światła lotniskowe nikną w dali i lecimy samotni, jakby w jakiejś potwornej próżni, zdala od świata i ludzi. W słuchawkach odzywa się przytłumione brzęczenie, które przypomina nam, że ziemia wie o nas i trzyma na uwięzi swych radiowych rozkazów. Śpiąc i pilotując naprzemian z Andrzejem, dolatujemy do Wadi Malfa, gdzie szybko zjadamy śniadanie, przerywane ciągle przez pasażerów, którzy dzielą się swymi wrażeniami. Pożegnalne spojrzenie na piaszczyste tereny Wadi - Malfa i biorę nowy kurs na Chartum. Pogoda jest wspaniała, jasne podzwrotnikowe słońce oślepia nam oczy, a monotonność olbrzymiej, zda się nie kończącej się pustyni sprawia przygnębiające wrażenie. Jest to najmniej ciekawy odcinek trasy. Wkoło, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie morze piasków, tylko gdzie niegdzie sterczą samotne kurhany, pokrywające niejednokrotnie zasypane przed wiekami karawany. Po godzinie lotu „Kubuś" przecina srebrną wstęgę Nilu, mija kilka nędznych zagród i znów wkracza w morze piasków. Podmuchy piasków, zrazu bardzo słabe, wzrastają z każdą chwilą. Rzucanie maszyną stale przybiera na sile.



Bronią myśliwych są tu do dzis dzidy i luki

— Patrz — woła, trącając mnie, Andrzej, z zainteresowaniem wskazując na ziemię. Z martwymi, burymi piaskami zaczyna się dziać coś niesamowitego. Zrazu wyglądają jak wzburzone morze, które zaczyna falować, później wszystko mętnieje i mam wrażenie, że gęsta mgła pokrywa całą ziemię. Podmuchy stale wzrastają i wzmaga się duszność atmosfery.

Z gęstej mgły piasków poczynają wyłaniać się wysokie leje, to „hamsin" straszna burza piaskowa, która szaleje czasami nad pustyniami Afryki, zasypując karawany i niszcząc samotne osiedla. Ciągnie się ona na przestrzeni dziesiątków mil, a wysokość jej dochodzi ponad 10.000 stóp W wypadku napotkania „hamsin" dla samolotu istnieje jedyny ratunek — ucieczka. Ponieważ do Chartumu pozostała nam zaledwie czwarta część drogi i nie mam pewności ucieczki, decyduję się na przelecenie burzy, o ile oczywiście na lotnisku istnieją odpowiednie warunki widoczności.

Z napięciem oczekuję odpowiedzi od Stacha, który pochylony nad swym aparatem, stara połączyć się z Chartumem, a tymczasem opary piasków wznoszą się coraz wyżej Lecimy już w żółto burej mgle, straciwszy całkowicie widoczność. Drobniutki pył piaskowy wypełnia kabinę, dusi w gardle, wywołując bolesny kaszel, gryzie w oczy i trzeszczy w ustach.

Hallo! Radiotelegrafista do pilota — rozlega się w słuchawkach — w Chartum piękna pogoda i stuprocentowa widoczność!

Napięcie nerwów mija, zatem lecimy dalej. Krztuszę się i kaszlę, na próżno starając się przez załzawione oczy dojrzeć wskazania zegarów. Wreszcie po kwadransie lotu „Kubuś-Nicpoń" mija złowrogi „hamsin", pył zaczyna opadać, podmuchy wiatru zmniejszają się, a piersi mogą odetchnąć świeżym, chłodnym powietrzem. W jasnym oślepiającym słońcu dolatujemy do Chartum, na krótki postój, wypełniony całkowicie myciem zapiaszczonych oczu i pochłanianiem niesamowitej ilości wody.

Za Chartumem zaczynają znikać monotonne piaski, ustępując miejsca pierwszym zwiastunom fauny i flory.



Smacznego! Młodzież posila się przed chatą.

— Andrzej — mówię do drugiego pilota — idź do pasażerów i powiedz im, że nadlatujemy nad rejon „bushum".

Sam lecę nisko nad ziemią, by dać pasażerom szanse oglądania dzikich zwierząt w ich królestwie. Spłoszone rykiem „Kubusia" ucieka stado antylop w panicznej trwodze. Za nimi podąża kilka żyraf, śmiesznie kiwając małymi główkami na przeraźliwie długich szyjach. Po chwili uwagę na się zwraca stado galopujących słoni, z których każdy posiada na szarym grzbiecie małą plamę. Zaciekawiony, kładę samolot w lekki wiraż i nadlatuję prosto na słonia. Tajemnica białych plam wyjaśnia się. Są to duże ptaki ibisy, które oczyszczają grzbiety słoni ze złośliwych robaków, ryjących ich grubą skórę.

Tym największym na świecie „Zoo" lecimy około czterech godzin, powoli zbliżając się do naszego przystanku, którym jest ostatnie lotnisko przed równikiem — Juba.

Juba, zagubione lotnisko w podrównikowej Afryce jest małą bazą, zaopatrującą w paliwo samoloty. Wokół skromnych zabudowań lotniska ciągnie się „bush", kryjący zazdrośnie w gąszczach przeszło dwumetrowej trawy tajemnice czarnego lądu. Upał panuje tak nieznośny, że nasze ubrania są momentalnie mokre od potu, a zmęczonym płucom stale braknie tchu.

Zaraz po wylądowaniu, mając dwie godziny czasu, nieopatrznie wyraziłem chęć zwiedzenia dżungli. Komendant portu obiecał nam eskortę i oto teraz stoi przed nami kilku uśmiechniętych dryblasów, potrząsając wesoło włóczniami. Są przepysznie zbudowani i niesamowicie czarni. Rozmawiają z nami grzecznie, ale bez służalczego płaszczenia się, zdają sobie doskonale sprawę, iż są panami u siebie. Jako jedyną broń posiadają dzidy, które mają nas chronić w razie spotkania drapieżników. Nie bardzo dowierzamy tej broni i na wszelki wypadek zaopatrujemy się w karabiny. Rzucamy wściekłe spojrzenie w kierunku rozpalonego słońca i pogrążamy się w dusznej, mrocznej ścianie bushu. Już po przejściu kilkunastu kroków spotykamy żyrafę, obgryzającą resztki liści z nawpół uschniętego drzewa. Na nasz widok oddala się majestatycznie i po woli. Idziemy dalej. Gdzieś z boku dolatuje nas szybki tętent spłoszonej antylopy. Nasza eskorta skupia się i szybko coś bełkoce w swoim gardłowym narzeczu. Po chwili zbliża się tłumacz i mówi z poszarzałą twarzą.

— Massa, antylopa uciekać przed drapieżnikiem. My lepiej naśladować antylopy i uciekać — szybko, szybko.

— Ech, strach ma wielkie oczy — mówi Andrzej — zaledwie uszliśmy kilkadziesiąt kroków od lotniska i mamy już wracać. Nie, pójdziemy dalej!

Biedny Andrzej! Szedł dzisiaj śmiało, nie przypuszczając wcale, że wkrótce „bush" stanie się przyczyną jego długoletniej choroby i omal nie zguby. Startując na myśliwskiej maszynie, miał wypadek i musiał przymusowo lądować w dżungli, o jakie 2 kilometry od lotniska. Z wypadku wyszedł cało, ale do lotniska nie doszedł nigdy. Po dwóch tygodniach poszukiwań, znaleźli go i przynieśli Murzyni wpół żywego z okropnymi ranami, wyżartymi przez mrówki. Bush był tak gęsty, że musiał cal po calu wycinać sobie drogę wśród lian i krzewów. Przez dwa tygodnie przeszedł zaledwie sześćset metrów.

Dziś jednak szedł śmiało naprzód, nie zwracając uwagi na eskortę. Nagle gdzieś z boku ciszę przerywa przeraźliwy krzyk napadniętej zwierzyny. Niedaleko nas odbywa się walka, zakończona pomrukiem zwierza, zabierającego się do uczty. Walka o byt trwa. Stoimy wsłuchani w nastałą ciszę, która przedłuża się w nieskończoność. Ani jeden odgłos nie mąci spokoju dżungli. Chcemy iść dalej, lecz ze zgrozą stwierdzamy, że cała nasza eskorta znikła, pozostawiając nas swemu losowi. Udało im się naśladować antylopy tak dobrze, że nie zauważyliśmy momentu ich



.... dzikie zwierzęta w ich królestwie

Ze wspomnień pilota wojennych linii afrykańsko-azjatyckich

Afryka

zniknięcia. Ze śmiechem i drwinami staramy się powrócić na lotnisko, odległe od nas najwyżej o trzysta metrów. Z bronią gotową do strzału idziemy już przeszło pół godziny, a lotniska ani śladu. Powoli zaczyna nas ogarniać zdenerwowanie. Za godzinę mamy startować, a tymczasem błąkamy się koło lotniska, wśród gęstych traw. Wreszcie Stach zaczyna strzelać, raz po raz. Sekundujemy mu dzielnie i po dziesięciu minutach spotykamy patrol wysłany z lotniska na nasze poszukiwanie. Komendant jest bardzo zdziwiony, że byliśmy tak nieostrożni i kazaliśmy wrócić eskorcie. Robię na to wielkie oczy, ale nasz bohaterski tłumacz, który znalazł się na zawołanie oświadcza, że otrzymał od nas zdecydowany roz kaz powrotu.

— Jakżeby inaczej dzielni wojownicy zostawić dobrego massa samego — zakończył bezczelnie. Mało tego, przed odlotem przyszedł i domagał się do nas wynagrodzenia. Ale Andrzej, najbardziej rozżalony z nas wszystkich (podarł sobie nowe spodnie) rzucił się jak lew w kierunku biednego Murzyna.

— Ty! Uważaj! Bo jak cię kopnę, to polecisz tak wysoko, że z głodu umrzesz w powietrzu! — zawył, a tłumaczowi nie odpowiadała widocznie perspektywa głodowej śmierci, bo znikł natychmiast jak kamfora.

Słońce tak wymęczyło nas swymi promieniami, że z rozkoszą uciekamy przed upałem na wysokość 10 tysięcy stóp, by dolecieć do ostatniego w dniu dzisiejszym lotniska w stolicy Kenii-Nairobi.

Teren zaczyna się podnosić i po dwóch godzinach lotu zbliżamy się do jeziora Victorii, za którym zaczynają się pasma najwyższych na terenie Afryki Gór Kenijskich, ze słynnym szczytem Kilimandżaro. Przekraczamy równik, ale z braku miejsca, obchody z tą uroczystością związane, odkładamy do Nairobi. Pogoda zmienia się gwałtownie, wchodzimy bowiem w rejon wiecznych deszczów i burz. Wściekłe podmuchy i próżnie powietrzne wyprawiają z naszą maszyną dzikie harce. Biedny „Kubuś Nicpoń" trzeszczy, kołysze się i zatacza jak pijak, ku rozpaczy pasażerów, którzy zaczynają żałować swego dobrego apetytu w Juba.

Nareszcie po czternastu godzinach lotu w dniu dzisiejszym, lądujemy w Nairobi, położonym malowniczo w wielkiej kotlinie kenijskiej.



Wojownicy malowniczo, ale niegroźnie wyglądają.

Podczas dwudniowego pobytu w Nairobi, zetknąłem się z Murzynami kenijskimi, potężnymi czarnymi olbrzymami o charakterze spokojnego dziecka. Nie wiem skąd i kiedy dotarła do nich wiadomość o narodzie polskim, zauważyłem jednak, że moje naszywki „Poland" na rękawie wzbudzały w nich dużo respektu i... obdarzyły mnie mianem „białego Murzyna". Widocznie ktoś usłużny Poiakom, poinformował negrów, czym byliśmy dla Anglików.

Dwa dni postoju minęły bardzo szybko. Szykujemy się do ostatniego skoku przez Tanganikę i Rodezję do Transvalu. Miny mojej załogi nie są zbyt szczęśliwe. Jak zwykle Bill i Szach nie mogą odżałować rozkoszy ziemskich, podlanych obficie whisky, a Andrzej zawsze niedospany drzemie w swoim fotelu. Nie mam serca go budzić, więc pilotuję sam do Tabora w Tanganice. Stąd czeka nas sześciogodzinny lot bez lądowania, bez pomocy radiowych i w dodatku nad terenami prawie całkowicie niezamieszkałymi. I znowu monotonia terenów, nad którymi przelatujemy, jest męcząca. Rozlewiska rzek, duże rzeki i małe rzeczki, duże strumienie i małe strumyczki, poza tym puszcze, lasy i znowu rzeki.



Kopalnia złota w Johannesburgu

Najmniejszego śladu życia ludzkiego w promieniu setek kilometrów.

Czas płynie bardzo powoli, a niesamowita nuda paraliżuje nas, odbierając wszelkie zainteresowanie trwającym przelotem.

Na moment, ciszę panującą w słuchawkach, przerywa wściekły głos Andrzeja.

— Jak ten czas powoli leci!

Podniecenie wywołane głosem drugiego pilota, szybko niknie, bo każdy z nas zgadza się z nim zupełnie i nie ma nic do powiedzenia.

I znów lecimy nad zadrzewionym terenem, mijając duże rzeki i małe strumyczki.

— Radiotelegrafista do pilota — zadźwięczało nagle w słuchawkach — odbieram sygnały z lotniska w Salisbury!

Ożywiamy się wszyscy i zaczynamy mówić jeden przez drugiego, przeklinając monotonną drogę i snując marzenia na temat kuchni rodezyjskiej. Jesteśmy przeraźliwie głodni i jedynie twardość zastawy w kasynie Salisbury, chroni ją przed naszymi wilczymi apetytami.

Spieszymy się, by jeszcze dziś dolecieć do Johannesburga, toteż wkrótce ciszę lotniska przerywa łoskot śmigieł. Lotnisko pozostaje za nami zrazu dobrze widoczne, po chwili jednak rozpływa się i wsiąka w otaczającą je zieleń terenu.

Po dziewięciu godzinach lotu w dniu dzisiejszym, jesteśmy zbyt zmęczeni, by podziwiać piękno mijanych okolic. Słońce dawno skryło się za horyzontem, gdyśmy przelatywali granicę północną Unii. Zapada noc na ciemnym granatowym niebie afrykańskim, jasno lśni konstelacja Krzyża Południowego.

Nareszcie! Ostatnie okrążenie nad lotniskiem i podchodzę do lądowania. Wszyscy nabieramy humoru, a twarze rozjaśniają się, ba! nawet fosforyzujące tarcze zegarów i manometrów błyszczą dziwnie radośnie i wesoło.

W dziesięć minut później melduję się w porcie lotniczym.

Niestety! Nikt nas nie tylko nie obdarował diamentami, jak to sobie wyobrażał nasz naiwny Stach, ale w dodatku celnicy skonfiskowali nasze skromne zapasy żywności i spirytualiów.

— Ale to już inna historia — jakby powiedział dziadzio Kipling.

H. Góral i M. Krzywda



Zalotny uśmiech czarnej dziewczyny

Kalendarzyk historyczny

7 STYCZEŃ.

1429 Zjazd w Łucku Wł. Jagiełły, Witolda i ces. Zygmunta,

1656 zm. satyryk Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański,

1715 zm. francuski pisarz moralista, François Fenelon, autor „Przygód Telemaka",

1774 zm. w Warszawie, Józef Andrzej Załuski, założyciel Publicznej Biblioteki im. Załuskich (1746 r.),

1932 zm. André Maginot, twórca tzw. „Linii Maginota".

8 STYCZEŃ.

1028 Wynalezienie 7 nut muzycznych i gammy przez zakonnika benedyktyna, Guy Arestyna,

1200 wynalezienie kompasu,

1391 wynalezienie kart do gry

9 STYCZEŃ.

1796 Zajęcie Warszawy przez Prusaków,

1797 Konwencja gen. Dąbrowskiego z rządem Lombardii, w sprawie utworzenia Legionów Polskich,

1873 zm. Napoleon III,

1885 ur. się w Łodzi poeta, Tadeusz Nalepiński,

1909 ekspedycja naukowa Shakletona zdobywa 88° i 23' szerok. połudn.

1884 ur. się w Stryju, Kornel Makuszyński,

1876 ur. się w Podgórzu, Adolf Nowaczyński.

10 STYCZEŃ.

1620 Wynalezienie loterii liczbowej przez Benedetta Gentille,

1863 masowa emigracja młodzieży do lasu przed powstaniem.

11 STYCZEŃ.

1583 wprowadzenie do Europy tytoniu z Wirginii.

1621 wynalezienie mikroskopu przez Galileusza.

12 STYCZEŃ

1578 Pierwsze przedstawienie „Odprawy posłów greckich" Jana Kochanowskiego.

1746 Ur. się Henryk Pestalozzi.

1852 Ur. się Jacques Joffre.

1869 Zmarł gen. Jan Skrzynecki.

1878 Ur. się poeta Bolesław Leśmian.

1878 Ur. się Franz Molnar.

1933 Karol Szymanowski zostaje członkiem honorowym Akademii Muzycznej we Włoszech.

1934 Zmarł znakomity skrzypek Paweł Kochański.

1944 Rozstrzelanie hr. Ciano i marszałka de Bono we Włoszech.

1945 Początek wielkiej ofensywy radzieckiej.

13 STYCZEŃ

1565 Ur. się Jan Ostroróg.

1706 Wynalezienie porcelany przez Böttchera.

1870 Ur. się Henryk Opieński — kompozytor.

1909 Zm. Adam Bełcikowski.

HELIODOR KUC

AGATKO, GDZIE TY?



Satyryczno-parodystyczna
POWIEŚĆ KRYMINALNA

IX.

(Ciąg dalszy)

Komisarz Monk, jak widzimy, zagalopował się trochę, być może, pod wrażeniem jeszcze snu, jaki go musiał przyjemnie nawiedzić, albo pod wrażeniem Zuzanny, wiszącej nad jego kanapą. Spostrzegł to gubernator i powstrzymał jego improwizację.

— Zdaje się — rzekł — że mówi pan przekonywują co. Ale czas upływa. Czy pan sądzi, że żona moja powinna jechać?

— Tak — odrzekł Monk stanowczo. — Osłonę natychmiast zarządzę. Sam zresztą udam się w ślad za panią gubernatorową. Nie obawiamy się jakichś tam czujek, którymi po prostu chcą nas zaszachować. Jeśli nawet nie jest tak, jak przypuszczam, jeśli nie Kur w tym macza palce, to i tak należy to sprawdzić i zlikwidować. Za kwadrans ósma — dodał, patrząc na zegarek: — proszę, niech ekscelencja poprosi panią gubernatorową, żeby im odpowiedziała, że wyjedzie o wpół do dziewiątej, żebym miał chwilę czasu na zorganizowanie osłony, ponieważ nie wiem, w jakim kierunku trzeba się będzie udać.

Gubernator opuścił na chwilę gabinet i wnet powrócił.

— Dobrze — rzekł — żona zrobi ,jak pan chce.

— Nie wiadomo — odezwał się Monk — na który aparat będą dzwonić: w pałacu jest ich kilkanaście.

— Myślę, że na prywatny w buduarze mojej żony. Gdyby dzwonili tu, zaraz ją zawezwę...

Minuty płynęły. Obydwaj panowie czuli, że mimo ich stalowe nerwy, serca walą im jak młotem. Napięcie dochodziło do szczytu. Zapanowała śmiertelna cisza, w której słychać było tylko brzęczenie paru much, jakie się przypadkiem znalazły w gabinecie. Gubernatorowa, z lewą ręką na sercu, z prawą zaś ,dygocącą nerwowo, przy słuchawce, czuwała w swym buduarze.

Jest za siedem minut ósma. Mamy więc jeszcze siedem minut, i sądzimy, że w ciągu tego czasu zdążymy udzielić czytelnikowi pewnych koniecznych informacji. Być może zrodziło się w nim uzasadnione pytanie, dlaczego komisarz, w oczekiwaniu telefonu ludzi Dobrej Woli, nie skomunikował się natychmiast z centralą telefoniczną, aby jej wydać polecenie sprawdzenia, spod którego numeru będą dzwonili do gubernatorowej bandyci. Oczywista, że nie mogą dzwonić z jakiegoś lokalu publicznego, ze sklepu, restauracji, czy apteki: zdradziliby się natychmiast. Mogli telefonować tylko z domu prywatnego, dając tym sposobem na siebie poszlakę. Komisarz Monk powinien był zwrócić na to uwagę i stwierdzić numer telefonu.

Otóż nie. Monk wiedział, że to sprawa beznadziejna, i właśnie dlatego, dopóki trzy osoby w pałacu gubernatorskim zamierają w oczekiwaniu, chcemy zrobić małą dygresję, żeby i czytelnika nerwów oszczędzić. W pierwszych słowach naszej powieści powiedzieliśmy, że Harapanda jest najpiękniejszym miastem na świecie. Teraz musimy dodać, że jest również jednym z najlepiej, najwygodniej urządzonych miast na kuli ziemskiej. Można powiedzieć, że Zarząd Miejski Haparandy był wzorem dla wszystkich Zarządów Miejskich, jakie istnieją na obydwu półkulach.

Sławne na przykład były śmietniki ruchome Haparandy ,dzięki czemu nie widziałeś tam nigdy śmieci na ulicy. W innych miastach kosze do śmieci znajdują się co najwyżej przy przystankach tramwajowych. Tu panowała inna zasada. Kosze do śmieci poruszały się na specjalnej taśmie elektrycznej wzdłuż chodników ,przy samych krawężnikach, biegnąc od rogu do rogu ulicy i z powrotem. Biegły tak gęsto, rytmicznie i punktualnie, że chyba tylko jakiś człowiek wyjątkowo przekorny lub ostateczny fajtłapa nie trafiał w nie skórką od pomarańczy, ogryzkiem jabłka, niedopałkiem papierosa czy świeżo przeczytanym a zmiętym w dłoni „Podwieczorkiem Haparandy". Zazdrości godne były też tzw. mosty Semiramidy[1]) czyli przerzucone łukiem na skrzyżowaniach ulic, ponad jezdnią, z jednego chodnika na drugi, przejścia dla pieszych, zaopatrzone w ruchome schody elektryczne. Dzięki nim nie bywało w Haparandzie wypadków ulicznych: przechodnie szli ponad burzliwym potokiem samochodów, pędzących nieprzerwanie w tę i tamtą stronę.

Podobne udogodnienia panowały w dziedzinie telefonów. Na każdym skrzyżowaniu ulic wznosiły się estetyczne budki telefoniczne, tzw. automaty, w w ich podziemiach urządzone były szalety miejskie: tak magistrat Haparandy umiał łączyć przyjemne z pożytecznym. Budek było takie mnóstwo, tak hermetycznie zamykanych, tak izolowanych od zgiełku ulicznego, że dzwonienie z nich było rozkoszą, a koszt połączenia wynosił zaledwie 5 centów[2]). Znany nam już policjant Nr 6969 popełnił właśnie ten błąd, że telefonował z apteki, nie z automatu, który stał tuż obok na rogu. Ale ten policjant, jak wiemy, był kretynem.

Gdy telefonujący miał przy sobie tylko grubszy pieniądz, np. 20 centów, mógł go zmienić na drobną monetę, leżącą zawsze na tacce przy aparacie, a której oczywista nikt nigdy nie zabierał przez pomyłkę ze sobą. Ludzie Dobrej Woli zatelefonują na pewno z jednej z takich budek, gdzie, z powodu ich obfitości, nigdy nie było tłoku, a zresztą, gdyby nawet ktoś czekał w kolejce do aparatu, nie słyszałby nic z tego, co mówił jego przedmówca, ponieważ kabina była hermetyczna i całkowicie wyłożona korkiem. Cóż z tego, gdyby nawet centrala telefoniczna odpowiedziała Monkowi, że dzwoniła budka, numer, dajmy na to 40 - 85? Że z tej budki ktoś się umawiał o wyjazd gubernatorowej? Ale kto to był? Niewiadomo. Szukaj wiatru w polu. Bo przecież ten ktoś nie poda gubernatorowej ani nazwiska swego, ani adresu, Komisarz Monk tedy wiedział, co czyni, nie łącząc się z centralą.

Ale bije już ósma... Duża wskazówka przesuwa się zwolna na tarczy wielkiego Beckera, pięknego antyku, stojącego w rogu gabinetu gubernatorskiego. Mija cyfrę 12, wskazuje minutę po ósmej, dwie, trzy, cztery, pięć..... siedem..... dziewięć... Obydwu panom brak tchu, serca wyskakują im z piersi, podchodzą do gardła, dławią...

Dziesięć po ósmej. Jak huragan wpada gubernatorowa, w stroju podróżnym, naciągając na lewą rękę wielką rękawicę samochodową. Panowie zrywają się z miejsc.

— Jadę! — woła gubernatorowa: — Agatka żyje! Przed chwilą telefonowali! Buick na dziedzińcu pod gazem!

— Na litość boską! — woła Monk — była mowa o wpół do dziewiątej! Czy ekscelencja im to powiedziała?

— Jolanto! — woła gubernator — Chwieczkę! Niech cię uścisnę! Co to będzie? Co to będzie?

Gubernatorowa rzuca się w objęcia męża i przerywanym głosem odpowiada jednocześnie Monkowi:

— Zapomniałam. Niech się pan nie dziwi—taki wstrząs!

Monk jęknął.

— Przynajmniej gdzie to jest, ekscelencjo? Zdążę jeszcze zarządzić osłonę i sam wziąć auto. Ale gdzie ma być to spotkanie? Muszę przecie głową ręczyć za bezpieczeństwo ekscelencji!

— Na piątym kilometrze w kierunku Riobamby, przy samym moście, gdzie od autostrady odchodzi droga na Lapampę. Nad rowem ma siedzieć siwy żebrak z dużą brodą ,przy którym mam się zatrzymać i powiedzieć jedno słowo, zapewne hasło: Gorgona. Jeśli mi da odzew: dżagan [3]) — mam go wziąć do samochodu, a on mi wskaże, gdzie skręcić i zabrać Agatkę, z którą towarzysze jego będą w pobliżu czekali. Woreczek z dukatami mam wręczyć przy odbiorze Agatki. Jak widać, bardzo przyzwoici ludzie...

Relacja gubernatorowej była bardzo ścisła i rzeczowa. Mimo to Monk wziął się za głowę.

— Jezus Maria! — powiedział: — Co się tu wyprawia! Idę wydać zarządzenia. Proszę, niech ekscelencja wyjeżdża, ale za dziesięć minut, nie wcześniej niż za dziesięć minut.

Nic im się nie stanie: poczekają.

Po odejściu Monka gubernatora opuściła odwaga.

— Co tu robić? Co tu robić? — powtarzał, biegając po gabinecie i cisnąc dłonie do łomocących skroni: — Jolanto, za żadne skarby nie puszczę cię samą!

— Auguście, opamiętaj się, bądź mężczyzną! Latałam sama Fokkerem z Haparandy do Donegall. Fraszką jest dla mnie skok narciarski na trzydzieści metrów!

Auguście, wstydzę się za ciebie...

I gubernatorowa stanowczym ruchem skierowała się do drzwi. A właśnie ktoś w nie zapukał. Gubernatorowa zetknęła się z wchodzącym dr Federem.

— Ekscelencja daruje — rzekł sekretarz z teczką pod pachą, skłoniwszy się służbowo. — Ekscelencja daruje, że go niepokoję i wkraczam brutalnie do gabinetu, okrytego smutkiem, obowiązek jednak państwowy, przed którym muszą ustąpić najboleśniejsze zgoła sprawy osobiste, skłania mnie do uproszenia ekscelencji o szereg podpisów...

— Chryste! — krzyknął gubernator, chwytając ciężki przycisk na biurku. — W takiej chwili! Można przecie o dziesięć minut później! Panie doktorze, drogi ,niechże mnie choć pan oszczędza!

Lecz nagle, jakby olśniony, porwał zdumionego sekretarza za ramiona i potrząsając nim mocno, zawołał:

— Sama Opatrzność zsyła nam pana! Jolanto, doktór Feder pojedzie z tobą! Wprawdzie bandyci zastrzegli, żebyś była sama, ale pan doktór nie stanowi przecież żadnej pozycji. A bądź co bądź będzie czuwał i w razie, nie daj Boże, niebezpieczeństwa, da nam natychmiast znać. Ja będę znacznie spokojniejszy...

Dr Feder w lot ogarnął położenie. Dopomóc gubernatorowej stało się dla niego nakazem obowiązku, a może też pociągnął go hazard nocnej wyprawy, która w jego szarym życiu sekretarskim nabierała żywych barw emocjonującej przygody. Szybko odłożył wielką tekę z pilnymi papierami i zawołał z zapałem:

— Jestem gotów! Gdzie samochód?

— Stoi na dziedzińcu.

Nim gubernatorstwo zdołali się zorientować, dr Feder sprężystym krokiem wybiegł z gabinetu, krzyknąwszy w progu:

— Niechże ekscelencja siada!

— Broń! Broń! — rozległ się za nim nerwowy głos gubernatora. — Może pan nie ma rewolweru?

Ale sekretarz już tych słów nie dosłyszał. Gubernatorowa tymczasem nałożyła autookulary i ściągnąwszy mocno pasem swój płaszcz sportowy, skakała po dwa stopnie ze schodów, naciągając na prawą rękę wielką rękawicę samochodową.

Dygocąc motorami, ośmiocylindrowy niezawodny Buick stał na dziedzińcu pałacowym, zwrócony latarniami na bramę wjazdową.

— W imię Boże! — gubernator rozlatanymi rękami pomagał żonie zasiąść przy kierownicy. — Ruszaj! — dodał odruchowo, jak to zwykle rozkazywał szoferowi. Lecz raptownie uderzył się w czoło. — A gdzież Feder?

— Jestem! A kuku! — I głos sekretarza, jakby zduszony, doleciał niskim echem z wnętrza samochodu.

Gubernator szarpnął drzwiczki: wewnątrz nie było nikogo.

— Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa — wzdrygnął się. — Czy ja śnię? Gdzież pan jest? Nie widzę nikogo.

Siedzenie samochodu podniosło się zlekka, ukazując głowę sekretarza.

— Jestem tutaj. Uważam, że to najpewniejsza kryjówka. Tu mnie nikt z bandytów nie dostrzeże, a ja mam świetny punkt obserwacyjny. Niech ekscelencja będzie spokojny. Wszystko w porządku.

Gubernator po raz pierwszy zapewne od chwili zniknięcia Agatki odetchnął z głęboką ulgą.

— Co za genialny pomysł! Nie zapomnę panu tego do śmierci, drogi, kochany doktorze!

I gorąco ściskając wyciągniętą spod siedzenia dłoń doktora, rzekł mocnym już i dźwięcznym jak zwykle głosem:

— A więc raz jeszcze w imię Boże! Panie doktorze, w pańskich rękach los mojej żony i nas wszystkich! Jolanto, czas najwyższy!

Buick bezszelestnie poderwał się z miejsca. Czerwone światełko mignęło w bramie, i jej kute żelazne kraty zasunięte rękami dwóch wiernych odźwiernych, zawarły się natychmiast ciężko, jak gdyby odgradzając od całego świata gubernatora, który ze spuszczoną głową, wolnym krokiem jął wstępować po wyścielonych szkarłatnym suknem schodach pałacu.

Buick tymczasem skręcił szybko w ulicę Bohaterów i elastycznie mknąc po asfaltach haparandzkich, w których się odbijały już, jak w zwierciadle, niezliczone światła elektryczne i wielobarwne neony, pędził w kierunku na Riobambę. Minąwszy most na Toropie, która przecinała miasto, żeby potem, zataczając wielki łuk, przeciąć z kolei autostradę w miejscu, gdzie się krzyżuje ona z drogą na Lapampę; wdarłszy się pod górę za pomnikiem Króla Konstantego I Idelfonsa; zostawiwszy wreszcie za sobą ostatnie zabudowania Haparandy — gubernatorowa zwiększyła szybkość swego Buicka na autostradzie do stu kilometrów. Kilka minut dzieliło ją od upragnionego celu wyprawy. Zawrotna szybkość stała się zbawienną dla ukrytego pod siedzeniem dra Federa; zgięty na pół w niewygodnej pozycji, nie zdążył nawet zdać sobie z niej sprawy, gdy się auto zatrzymało mocnym szarpnięciem o parę metrów przed mostem. W świetle reflektorów gubernatorowa ujrzała starego żebraka, o powierzchowności wzbudzającej zaufanie, jak siedział nad rowem przydrożnym. Na widok zatrzymującego się samochodu powstał i wolnym, starczym krokiem począł się ku niemu zbliżać.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

[1]) Słynna królowa starożytnej Assyrii. Zbudowała w Niniwie tzw. ogrody wiszące, jeden z cudów świata (Przyp. autora)

[2]) Mniej więcej 5 groszy polskich przedwojennych

[3]) dżagan, inaczej: czekan, rodzaj krótkiego drążka z ciężkim młotkiem na końcu, służący do zabijania. (Przyp. autora)

ZBIGNIEW BURZYŃSKI

POMARAŃCZA wybuch i REKORD

WSPOMNIENIA BALONOWE

Znany był w całej ziemi polskiej, co więcej, na całej niemal kuli ziemskiej dr. Konstanty Narkiewicz - Jodko. Dziwny to i osobliwy człowiek. Lubił wysokość. Nie tylko ją lubił, lecz w ogóle czuł się lepiej dwa do trzech tysięcy metrów ponad powierzchnią morza. Nie wiem czemu to przypisać. Nie wiem czy i on sam wie. Może urodził się pod jakimś specjalnym „znakiem?". Taki ma organizm. A chude to i szczupłe — pożal się Boże! Ręce poodmrażane, brak palca u dłoni, nos nadwyrężony.

No bo jakże? Chodził po Tatrach, Alpach, deptał po Atlasie. Zdaje się, że był gdzieś w Islandii. Mówią, że wybrał się w Andy i tam wszedł z dwoma kolegami na najwyższy szczyt (Aconcagua, ponad 7.000 mtr.). Szedł długo. Przyzwyczajał się do rozrzedzonego powietrza. Bez sztucznego tlenu, z plecakiem na grzbiecie wdrapał się na sam szczyt i przenocował nieco poniżej na lodowcu. Sam jeden. Na stromym lodzie. Przy silnym wietrze. W trzydziesto - kilkostopniowym mrozie.

Mówią, że to właśnie tam na tym andyjskim lodowcu mróz odebrał mu palce u ręki. Tak. Ale zaraz się zagoiło. No pewnie, bo gdyby się nie zagoiło, to bym nie mógł teraz pisać tego co łaskawi Czytelnicy właśnie teraz czytają, nie byłoby o czym.

A wiedzą państwo gdzie jeszcze później był?

Samotrzeć pojechał na Spitzbergen. I to nie po futra z fok lub białych niedźwiedzi czy też pingwinów. Nie. Podobno zupełnie poco innego.

Zaczął już w czasie tych wypraw w góry. I jak płynął przez Atlantyk też to samo robił. Widać już taki miał charakter.

A uparty przy tym! Zawsze to samo. I po parę razy.

Podobno, od czasu jak dorósł, jak skończył chodzić na uniwersytet to już wtedy...

Chociaż nie! Chyba jeszcze wcześniej, bo przecież on wcale nie przestał chodzić na uniwersytet. Wiele lat później, gdy tylko nie był w górach, to siedział za taką wysoką ławą. Albo przed szerokim stołem i robił „to swoje".

Oglądał promienie kosmiczne. Ni mniej ni więcej. Zrobił sobie taki przyrząd i przypatrywał się im.

Poco mu to i co to za promienie — tego nie wiem, lecz chociaż mi tłumaczył, nie bardzo rozumiałem. To takie dziwne rzeczy.

Otóż, doktór ten mając widocznie wszystkiego jeszcze mało, w roku 1934 na jesieni wziął kapelusz do ręki i poszedł, zdaje się ul. Marszałkowską w Warszawie, na południe. Minę miał zamyśloną ale czasem uśmiechał się do swoich myśli. Szedł żwawo (przecież był jeszcze młody) aż do początku ulicy Puławskiej i tam wszedł do szerokiej bramy, strzeżonej przez żandarma. — Puszczono go łatwo, bo go wszyscy znali. Na pierwszym piętrze, w czerwonym budynku poprosił, by mu dano balon z pilotem i to taki balon, żeby podniósł go do dziesięciu tysięcy metrów wysokości wraz z jego instrumentami. Powiedział, że ma w tym interes, by obejrzeć promienie kosmiczne z wysokości większej niż Aconcagua.

Obiecano mu to i stąd nasza znajomość. Zaraz też, na jesieni polecieliśmy na małym baloniku, żeby doktór zobaczył dokładnie jaka różnica jest między szczytem górskim a koszem balonowym.

Leciał po raz pierwszy i wszystko wydawało mu się wtedy na odwrót. Przynajmniej tak o tym pisał swego czasu. Jak wyrzucił papierek to nie wiedział czy balon idzie do góry, a papierek stoi w miejscu, czy też papierek idzie na dół a balon stoi w miejscu. Ale że doktór jest fizykiem, więc zaraz potem wyjaśnił, że wszystko to, to teoria względności. Wylądowaliśmy koło Małkini, która mnie się wydała Mławą. I żeby to wszystko sprawdzić, wypiliśmy po kieliszku wódki. Na dobrą przyszłość.

*

Nastała zima. Czyniliśmy przygotowania. Ponieważ w południowej dzielnicy Warszawy był parterowy murowany budynek, w którym mieściła się stalowa komora, ponieważ z tej komory można było wypompowywać powietrze — pewnego dnia zamknięto nas z jeszcze jednym doktorem w jej wnętrzu i zaczęto zmniejszać ciśnienie. Patrzono przy tym na nas z zewnątrz przez szybkę.

Ja byłem tam już nieraz i wiedziałem jak trzeba robić, żeby mnie nie „odwaliło". A doktór chociaż był tam po raz pierwszy — śmiał się. Przy ciśnieniu dwustu milimetrów zamiast normalnych 760, wyciągnął rękę i pokazał, że ma puls tylko osiemdziesiąt na minutę. Taki już on był. Więc wpuszczono powietrze do komory i nas wypuszczono na wolność. Doktór pojechał do siebie przygotowywać się, a ja do siebie.

Trwało to parę miesięcy. Największy kłopot miałem z tym, co wziąć do jedzenia na lot. Doktór był tyle razy na różnych wyprawach, więc wiedziałby na pewno. Ale wstydziłem się go zapytać. W końcu, po trzech miesiącach namyślłom się: obrana pomarańcza. Obrana i dokładnie oczyszczona jeszcze na ziemi.

*

Ktoś w Warszawie powiedział, że 29 marca 1935 roku będzie na pewno ładna pogoda. Kupiłem więc dużą soczystą pomarańczę i powitałem w Legionowie doktora Narkiewicza wraz z jego mechanikiem i instrumentami.

Pogoda była rzeczywiście ładna. Rozmieściliśmy wszystko w koszu, kosz przyczepiliśmy do powłoki i wystartowaliśmy o godz. 9.02. Obrana pomarańcza leżała obok mnie na ławce. Myślałem ciągle o tym kiedy ją jeść i czy poczęstować doktora, czy też nie. Bałem się, że się obrazi.

Balon szedł do góry. Już było 3.500 mtr. wysokości, a ja ciągle biłem się z myślami, czy zjeść cząstkę pomarańczy. Zdawało mi się, że nie wypada tak zaraz po starcie. Bo co mógł pomyśleć doktór. Za co by mnie miał? A przy tym — z tym częstowaniem...



Rys. M. Nesterowicz

— Zemsta trupą pomarańczy

Tymczasem balon szedł coraz prędzej do góry i jeszcze „pięćset metrów" wysokości a trzeba będzie włożyć maski tlenowe. Z tą chwilą wszystko przepadnie. Rozterka moja potęgowała się z każdą chwilą. Już miałem sięgnąć po pomarańczę — i cofałem się. Po chwili znowu. Doktór zaś nie domyślał się nawet co się we mnie działo. Nawet nie patrzył na mnie a tylko na swój aparat i przygotowywał go do użytku.

Aż nagle obrócił się do mnie i zapytał:

— Jaka wysokość?

— 4.500. Trzeba włożyć maski...

Tak zwykle bywa. Warunki zewnętrzne rozstrzygnęły moją rozterkę. Podałem maskę doktorowi a drugą sam sobie włożyłem. Otworzyłem butlę z tlenem.

Skończyło się. Pomarańcza została nietknięta. A miałem apetyt.

Trzeba było zacząć myśleć o locie, o tych promieniach kosmicznych, o wysokościomierzu i balaście.

O 11.10 znajdowaliśmy się na wysokości 9.000 metrów. Wszystko szło dobrze. Co trzysta metrów zatrzymywaliśmy balon i doktór nakazywał spokój. Nawet nie wolno było oddychać, żeby kosz nie drgnął. Patrzył wtedy w taką podłużną rurkę ze szkiełkiem, ręką naciskał stopper, liczył do 10, znów coś naciskał, odsuwał oko od szkiełka, chował stopper, brał notes i ołówek, zapisywał i mówił, że można już dalej do góry.

A ja na to tylko czekałem z nożem w garści. Przecinałem sznurek i wysypywało się 25 kilo balastu. Balon robił skok o trzysta do czterystu metrów.

Tlen syczał sobie jednostajnie. Znajdowaliśmy się nad Ostrołęką i Ostrowiem - Komorowem. Fotografowałem. Czasem też coś notowałem. To godzinę, to wysokość, to temperaturę powietrza i gazu w balonie. O pomarańczy nawet nie mogłem myśleć.

Tymczasem zrobiła się godzina 11.48 i wysokość 10.000 mtr. Balastu pozostało 125 kg. plus butle tlenowe ze spadochronem, plus bateria elektryczna doktora, wagi 50 kg., również ze spadochronem. Doktór skończył swe badania. Pogoda była piękna. Rozległy widok na całą dolinę Narwi z Biebrzą.

Doktór powiedział w maskę tlenową:

— Bateria elektryczna nie jest mi już potrzebna, wyrzućmy ją.

— Dobrze, odpowiedziałem, ale pomarańczę zostawimy.

— Zgoda.

Więc uważając by nie złamać zesztywniałych od mrozu przewodów gumowych doprowadzających tlen, dźwignęliśmy baterię, postawiliśmy na burcie, skontrowaliśmy spadochron i zepchnęliśmy w przepaść.

Spadochron otwarł się dobrze. Balon sunął zadowolony ku górze, a my usiedliśmy zmęczeni, ciężko oddychając. Po kilku głębokich oddechach puls uspokoił się.

Nareszcie z całą pewnością przekroczyłem wysokość 10.000 mtr. O ile — to miało być wiadome kilka dni po locie. Doktór też się cieszył z tej dużej wysokości. Robiliśmy do siebie „perskie oczy" oszronionymi powiekami. Gdyby można było zjeść teraz choć kawałek pomarańczy.

Lecz chwila ta miała nastąpić już niedługo. Postanowiliśmy schodzić na dół. Gdy tylko miniemy wysokość 4.000 mtr. ku dołowi, zdejmiemy maski i można będzie jeść. Teraz sytuacja wydawała mi się zupełnie jasna. Doktór na pewno zje pół pomarańczy i nie będzie mógł śmiać się ze mnie. Będzie mi łatwo go poczęstować. To też puściłem balon szybko ku dołowi. Na ośmiu tysiącach powiedziałem:

— Jak zdejmiemy maski, zjemy po pół pomarańczy.

— Owszem, z chęcią — odpowiedział.

Poczułem ulgę w sercu, przypływ dobrego humoru, radosne drżenie żołądka. Więc tym bardziej oszczędzałem balastu.

— Godzina 13.02 wysokość 7.300 mtr., 13.19 wysokość, 5.700 mtr., 13.25 wysokość 4.000 mtr.

Zamykam butlę z tlenem, zdejmujemy maski, zacieram ręce, biorę pomarańczę i...

Nie, takiego zawodu nie miałem jeszcze w życiu! Cios był tym dotkliwszy, że zupełnie niespodziewany. Że ja go nie przewidziałem, to ostatecznie nic dziwnego, ale doktór! Doktór fizyki badający promienie kosmiczne, doktór, który wszystko przewidział, miał nawet piecyk słoneczny dla swego przyrządu i piecyk kataliczny dla swoich stopperów — nie przewidział, że pomarańczy może być zimno.

Było jej zimno i zamarzła na śmierć, i to tak dawno, że już stężała. Zupełnie stężała i twarda była jak kamień! Dosłownie zmarzła na kamień!

Nie pozostawało nic innego jak zrobić „trupowi" powietrzny pogrzeb. Stwierdziwszy, że jesteśmy nad rozległymi moczarami wziąłem kamień pomarańczowy w dwa palce, wyciągnąłem rękę za burtę, rozwarłem palce i pożegnany kamień zanurzył się w bagnie doliny Narwi koło Wizny!

Miało to być początkiem złego.

Zbliżała się chwila lądowania. Pod nami lasek sosnowy. Parę metrów nad ziemią, gdy ciągnąłem linkę rozrywacza, jakaś gałąź otarła się o mój lewy policzek. W tej chwili gaz uszedł z powłoki i legliśmy twardo na ziemi. Wstaliśmy, doktór zaczął mi obmywać zadrapanie na twarzy, później składaliśmy przyrządy. Tymczasem zbiegł się tłum ludzi. W powłoce była jeszcze resztka gazu.

— Nie palić papierosów! — Ostrożnie z ogniem! — wołałem.

Doktór poczuł się profesorem i „wyrżnął" wykład o niebezpieczeństwie wybuchu wodoru. Audytorium słuchało z otwartymi ustami, a ponieważ zwiększało się z każdą chwilą, doktór powtórzył prelekcje po raz drugi.

Zbliżyłem się do powłoki, by opróżnić ją z resztki gazu (około 50 mtr. sześciennych). W tej chwili huk targnął powietrzem. Odrzuciło mnie na parę kroków. Poczułem ból w prawej ręce i pieczenie na twarzy.

Wszystko trwało krótko, jak właśnie wybuch. Tłum ludzi rozbiegł się, kilkoro dzieci płakało, powłoka leżała w strzępach.

— Zemsta trupa pomarańczy! — pomyślałem.

Doktór miał maść przeciwko odmrożeniu, więc posmarował nią oparzeliny.

*

Po godzinie jechaliśmy furmanką do Wizny w powiecie łomżyńskim.

Po dwóch tygodniach powłoka „Warszawa II" była już wyremontowana i 30-go sierpnia posłużyła kapitanowi Hynkowi do ubiegania się o nagrodę Gordon Benetta.

Przyrządy nasze odczytane w fachowym instytucie wykazały, że osiągnęliśmy wysokość 10.853 metry ponad poziom morza.

Aeroklub Rzeczypospolitej Polskiej napisał o tym do Paryża. Parę tygodni później, odpowiedziano, że był to nowy rekord międzynarodowy. 18 czerwca tegoż roku powtórzyliśmy z doktorem lot jeszcze raz, by potwierdzić wyniki jego badań. Osiągnęliśmy wtedy 10.200 mtr., lądując w Kulikowie pod Lwowem.

ZIOŁA TO ZDROWIE

Nasi Czytelnicy zwracają uwagę, że na ogół nieznany jest sposób przyrządzania ziół. To mając na względzie umieszczamy dzisiaj na ten temat kilka uwag. Wierzymy, że ułatwią one właściwe przygotowywanie ziół, chociaż radzimy nie stosować szablonu ani doprowadzać do jednostronności w używaniu tak różnie działających środków, jakimi są zioła. Nie należy również sporządzać, szczególnie dla dzieci zbyt silnych naparów, odwarów i nastojów. Zdobyte doświadczenie, wyczucie i rada lekarza doprowadzą do nabycia tak zaniedbanej umiejętności.

Sposób sporządzania ziół.

Znane są trzy główne sposoby:

1) Odwar, 2) Gorący napar, 3) Zimny wyciąg (nastoje).

Odwary: Przyrządza się tylko z ziół twardych, jak drewna, kory, korzenie, kłącza i takich, które opornie wydzielają interesujące nas składniki. Zioła należy rozdrobnić, zalać stosowną ilością wody zimnej i gotować do 25 minut na małym ogniu. Wygotowaną wodę uzupełniać. Gorący odwar odcedzić lub przefiltrować.

Ilość ziół: najczęściej 1 : 10.

Napary: Zalać drobno pokrojone zioła (kwiaty, liście, ziele) wrzątkiem wody, odstawić na 10 minut pod przykryciem. Nie gotować!! Podawać po przecedzeniu. Herbatowe osładzać.

Nastoje: Rozdrobnione zioła zalać przegotowaną wodą. Przykryć. Po 3 godzinach odcedzić i w razie potrzeby podgrzać. Nie jest wskazane bez zgody lekarza używać przez dłuższy czas, bez przerw choćby dwudniowych jednego tylko gatunku ziół.

Trzeba zwrócić uwagę, że najczęściej błędnie przygotowuje się zarówna odwary, napary, jak i nastoje. W rezultacie skuteczność ich jest mocno wątpliwa, albo żadna, nie mówiąc o tym, że złe przygotowanie powoduje często nieprzyjemny smak i zapach oraz niewłaściwe zabarwienie. Jeśli się mówi o „niesmacznych" herbatach ziołowych, to błąd leży najczęściej nie tylko w niewłaściwym przygotowaniu, ale i w nieodpowiedn.ch naczyniach (niekiedy nieczystych), oraz w małowartościowych, bo spleśniałych, zleżałych, albo zafałszowanych ziołach, kupionych u nieuczciwego dostawcy. Zważać należy na zdrową barwę ziół, właściwy zapach i przyjemny smak. Zioła należy przechowywać w szczelnych naczyniach, w suchym, nie nasłonecznionym miejscu. Do przyrządzania ziół przeznaczyć specjalny czajnik. Kupując zioła, zapytaj o sposób przyrządzania. W wypadkach chorobowych poradź się lekarza. Niektóre osoby muszą się do ziół dopiero przyzwyczajać, tak, jak wymagało przyzwyczajenia do nowych środków spożywczych, warzyw (np. pomidorów). Kto raz spróbował ziół, na pewno będzie je stale — byle rozumnie używał. W wypadkach wyraźnego wstrętu, nie należy siebie, ani domowników zmuszać do używania ziół, gdyż wstręt mógł powstać na tle idiosynkrazji.



Plantago major — to łacińska nazwa naszej popularnej babki, której właściwości lecznicze są wszystkim znane.

Wkońcu ponownie podkreślamy, że nasze rady nie mają prowadzić do omijania lekarzy, aptek i do znachorstwa, mają jednak ułatwić wprowadzenie do każdego domu taniego i wartościowego środka ludowego, jakim niewątpliwie są zioła polskie. Według ostatnio otrzymanych informacji kobiety francuskie wszystkich stanów, bez względu na wiek już dawno nabyły umiejętności stosowania ziół, używają ich powszechnie w kuchni, kosmetyce i szczególnie na wsi, a w miastach w wypadkach lekkich niedomagań domowników szczególnie w nocy, opierając się na cennych stałych radach swoich lekarzy domowych. Nie inaczej jest w innych krajach. Czy tej umiejętności nie powinny nabyć kobiety polskie? Radzimy w tej sprawie porozmawiać ze swoim lekarzem i nabyć poważny podręcznik o ziołach. Oprócz polskich jest sporo wartościowych podręczników obcych.

Powtarzamy domagajcie się udostępnienia ziół tanich i wartościowych. Po zioła odsyłamy do aptek, drogerii i specjalnych sklepów zielarskich.

Odpowiedzi

Ob. J. Konarzewskiemu — Żoliborz

Krajowe zioła uspokajające.

Korzeń kozika lekarskiego (waleriany) wybitnie kojąco działa na system nerwowy.

Kwiaty chmielu uśmierzają pobudliwość nerwową.

Kwiaty głogu wywierają dodatni wpływ na układ autonomiczny serca, regulując ciśnienie krwi; skutkują przy bezsenności.

Korzeń arcydzięgla — działanie kojące, zbliżone jest do działania kozika lekarskiego. Dobroczynny wpływ wywiera w stanach wyczerpania nerwowego.

Liście melissy wywołują łagodne działanie kojące przy nerwicach.

Sposób przyrządzania: z jednej łyżeczki poszczególnych ziół sporządza się szklankę naparu. Pije się po 3 razy dziennie przed posiłkami.

Sposób przygotowania mocniejszych naparów dla starszych: podaną ilość ziół zalać wrzątkiem, krótko zagotować i odstawić pod przykryciem. Po kilkunastu minutach przecedzić i napój będzie gotowy do użytku.

Spółdzielcza produkcja cukiernicza w Rzeszowskim

Fabryka Przetworów Owocowych i Wyrobów Cukierniczych „Społem" (dawniej „Alima") w Rzeszowie, ul. Śniadeckich 13, stale powiększa swoją produkcję, której masową podstawę stanowią: marmolady i soki owocowe oraz cukierki. Ponadto w mniejszych ilościach fabryka produkuje dżemy owocowe, kompoty, powidła i pastę pomidorową.

Według danych za III-ci kwartał 1947 r. Fabryka produkuje przeciętnie miesięcznie: 15—20 ton marmolady. 15.000 litrów soków i ponad 15 ton cukierków. Na sezon produkcyjny 1947/48 fabryka zakupiła około 1.000 ton owoców (w tym jabłek — 700 ton, wiśni 200 ton i około 100 ton innych owoców).

Fabryka pracuje rentownie, przynosząc w pierwszym półroczu 1947 r. ponad milion złotych nadwyżki. Zatrudnia 63 pracowników stałych (umysłowych i fizycznych) oraz 15-tu sezonowych. W ubiegłym roku zainwestowano w renowację jej urządzeń 1.500.000 złotych.

Kierownictwo fabryki w osobach: ob. Stefana Kopcia — Kierownika, ob. Jerzego Grabskiego — technicznego szefa produkcji i ob. Władysława Nazimka — zastępcy kierownika — harmonijnie współpracuje z Radą Zakładową, której przewodniczy ob. Józef Tokarski. (a)

KĄCIK JĘZYKOWY

O SŁOWNIKU FRAZEOLOGICZNYM

Gdy chcemy urozmaicić nasz styl bogatszymi zwrotami, a uniknąć oklepanych połączeń językowych, gdy coś piszemy — choćby list lub podanie — pożyteczne jest zasięgnąć rady słownika frazeologicznego. Właściwie, każdy kulturalny dom powinien mieć taki słownik, obok ortograficznego, ortoepicznego, czyli nauczającego poprawności językowej.

Słownik frazeologiczny podaje nam możliwą w danym języku ilość połączeń i zestawień leksykalnych — zwłaszcza czasowników z rzeczownikami i przymiotników z rzeczownikami np.: ponieść klęskę, powetować klęskę, ściągnąć na kogo klęskę, odwrócić od kogoś klęskę, szerzyć klęski, spadać na kogoś klęską, klęska wisi nad kimś, klęska zagraża komuś, dotyka kogoś, spotyka kogoś...

Jednocześnie słownik frazeologiczny uwzględnia synonimikę danego wyrazu — a więc: klęska — przegrana — porażka — plaga — pogrom — cios — itp. Wreszcie, słownik frazeologiczny wylicza zwykle pewne charakterystyczne wyrażenia przysłowiowe, jakie powstały w związku z pewnymi słowami i objaśnia je — np. dostać kosza, kopać dołki, miecz Damoklesa, ucho igielne, pobielane groby, ziemia obiecana itp.

Otwórzmy na chybił — trafił polski słownik frazeologiczny. Oto mamy słowo „rada". Ileż tu zestawień! Czyjeś rady zasięgać, po radę się udać, radę czyjąś przyjąć, rady usłuchać, **za** czyjąś radą pójść, kierować się czyjąś radą, radę odrzucić, prosić o radę, rady udzielać, podać komuś radę. Prócz tego zwroty przysłowiowe: głowa do rady, nie od parady, ani do rady ani do zwady, trudna rada, kusa rada, rada w radę... Znajdziemy również epitety, odnoszące się do słowa „rada", np.: zbawienna, zgubna, zdrowa, życzliwa. Wymienione są również synonimy, np.: przestroga, wskazówka... Na koniec, uwydatniona jest różnica pomiędzy radą w sensie „porady" a radą w znaczeniu „narady" — a więc: rada przyboczna, radę zwołać, radę rozpuścić, złożyć radę, odbyć naradę, w radzie zasiadać...

Autorem polskiego słownika frazeologicznego jest Antoni Krasnowolski, wydawcą był Michał Arct.

Pierwsze wydanie wyszło w r. 1898, drugie — w r. 1905, trzecie — w r. 1928, i — bodaj przed samą wojną — wyszło czwarte. Każde wydanie następne było, oczywista poprawiane i uzupełniane, albowiem język rozwija się i zmienia.

Dziś słownik Krasnowolskiego jest rzadkością antykwarską. Należało by pomyśleć o nowym wydaniu, język nasz dziś zubożał i zepsuł się bardzo. Firma Arcta już sporo rzeczy wydała we Wrocławiu. Może wznowi i słownik frazeologiczny, naturalnie, w edycji uzupełnionej i ulepszonej.

Bakałarz

APROWIZACJA

Zagłębia przez spółdzielczość

Przed wojną istniała w Katowicach Składnica Oddziału „Społem" w Będzinie, która z chwilą zajęcia Śląska przez okupacyjne wojska niemieckie musiała zlikwidować swoją działalność. Po usunięciu okupanta, w marcu 1945 r. w Katowicach stworzono Oddział. Czas uruchomienia Oddziału, to okres tworzenia się nowego życia na Śląsku. Na państwo i na organizującą się na tym terenie spółdzielczość spadł zaszczytny obowiązek zaprowidowania gęsto zaludnionego i bardzo wygłodzonego przez okupanta okręgu przemysłowego. Do tej olbrzymiej pracy stanęła w początkowym okresie garstka 6-ciu ludzi z ówczesnym kierownikiem Oddziału ob. Karolem Sikorą na czele. Z nałożonych obowiązków Oddział wywiązał się pomyślnie. — W okresie od marca do końca grudnia 1945 r. rozprowadził między ludność okręgu przemysłowego: — 2.203.591 kg. cukru, 9.597.080 kg. mąki żytniej, 2.673.960 kg. mąki pszennej, 1.042.425 kg. soli, 563.407 kg. marmelady, 285.365 kg. kaszy, 8.160.311 kg. żyta, 2.375.045 kg. pszenicy, 114.063 kg. jęczmienia, 817.167 kg. owsa i 2.165.969 kg. ziemniaków.

Rok 1946 — to rok stabilizacji organizacyjnej Oddziału, zwiększenia aktywności handlowej i rozszerzenia agend. Poniższe cyfry najlepiej zobrazują wysiłek organizacyjny i handlowy tej placówki. W roku 1946 Oddział rozprowadził na zlecenie władz i po cenach komercyjnych: 6.007.033 kg. cukru, 156.471 kg. marmelady, 8.057.533 kg. mąki pszennej, 13.438.781 kg. mąki żytniej, 920.376 kg. strączkowych, 286.323 kg. kawy, 1.896.275 kg. kaszy, 804.046 kg. jarzyn i 3.986.281 kg. soli. Ponadto rozprowadzono wyrobów tytoniowych za zł. 1.298.598.745, towarów włókienniczych za zł. 172.033.450, oraz mydła przydziałowego i proszków do prania za zł. 14.647.533.

Pod względem organizacyjnym historia Oddziału przedstawia się następująco: W 1945 r. Oddział prowadził, oprócz własnej działalności handlowej, również Składnice w: Chorzowie, Mysłowicach, Nowej Wsi. — W 1946 r. przejął hurtownię wyrobów P. M. Spirytusowego i uruchomił 5 hurtowni wyrobów P. M. Tytoniowego. Z dniem 1 października 1946 r. z placówki powiatowej przemianowany został na Okręgowy Oddział Spożywczy w Katowicach (ul. Warszawska 12), obejmując swoją działalnością obszar całego województwa. Zakres działania, jako placówki wojewódzkiej i zarazem powiatowej wydatnie się zwiększył. Do rejestru odbiorców, oprócz 68-u spółdzielni z miasta i pow. katowickiego oraz wielu różnych instytucji, przybyło 26 oddziałów powiatowych „Społem".

Obroty Oddziału systematycznie i stale wzrastały. Jeżeli przeciętne obroty miesięczne z 1945 r. przyjmiemy za 100% — to w 1946 r. obroty te wzrosły o ca. 1.475%, a w 1947 r. o ca 1.600% w stosunku do 1945 r. Obroty te i nadal będą wzrastały, skoro tylko uda się Oddziałowi pogłębić współpracę z przetwórczymi placówkami „społemowskimi" i spółdzielniami.

Oddział posiada 2 magazyny: centralny przy ul. Gliwickiej o pojemności około 150 wagonów i magazyn artykułów monopolowych, przy ul. Kamiennej o pojemności ca 120 wagonów. Tabor Oddziału składa się z 6-ciu samochodów ciężarowych i 3 — osobowych.

Oddział zatrudnia 262 pracowników, a dążeniem jego kierownictwa, w osobach: ob. Józefa Żuchowskiego, długoletniego działacza spółdzielczego i jego zastępców ob. ob. Pawła Klusa i Zenona Czapkiewicza — jest pogłębienie współpracy z oddziałami powiatowymi „Społem" i spółdzielniami, co stworzy podstawy do dalszego rozwoju tej ważnej okręgowej placówki spożywczej. (a)



ZMIANA NAZWY

Ukazało się rozporządzenie ministra przemysłu i handlu, na mocy którego zmieniono dotychczasową nazwę „Centralny Zarząd Przemysłu Budowlanego“ na „Centralny Zarząd Przemysłu Mineralnego“ (adres głównej dyrekcji: Warszawa, Al. Niepodległości 188). (nadesłał M. Malarski — Tuchola. Szosa Bydgoska 7).

Czyżby już nie było zajęcia dla budowniczych? W każdym razie ob. ob. budowniczym życzymy powodzenia w zbieraniu minerałów.

TRZY PYTANIA

Inż. Jan Jarosz z Nowego Sącza przesyła nam instrukcję wydaną przez Ligę Ochrony Przyrody na okręg krakowski. Nosi ona tytuł: „Wyjeżdżającym na wycieczki, wczasy ku pamięci“ i zawiera, między innymi, następującą przestrogę:

Nie tylko rośliny i zwierzęta, lecz także głazy, skały, jaskinie wymagają od nas poszanowania. Po odbytym na świeżym powietrzu spacerze chętnie myślimy o spożyciu. Nie zostawiajmy po sobie śmietnika. Przed odejściem uprzątnijmy dokładnie po sobie odpadki i zakopmy je starannie w ziemi lub schowajmy głęboko pod kamienie.

W związku z tym trzy rzeczowe pytania: 1) czy zakopywanie odpadków pod kamienie nie będzie brakiem poszanowania dla głazów? 2) czy turyści mają obowiązek noszenia ze sobą łopatek, rydli, motyk i tym podobnych narzędzi do zakopywania, czy też mają to robić rękami? 3) czy przez „odpadki po sobie“ Liga rozumie również ęsi?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ KONKURSU GWIAZDKOWEGO TYGODNIA

1) ZADANIE LITERACKIE

DCFMDPWMHGUDPLSPKCKWB
ZALEZRIAURŁROEKARHRIY
IR Z L O N EL
ED C Y E A B NANA YLI
WY S P I AŃ ŚKI
AM HII A N AŁO MC TAB
NI EAĘ R I Z EO YNĘ
NTISDGRTGCAGÓRRRWANOD
YRSYYAYAOASIWABYYMACĄ

LOGOGRYF 8)

K P D
OOMEKEM
OGNASODOW
ELLSRYMYNOR
ŚWIĘTYMIKOŁAJ
AWDANICAPGD
ANNASZCOA
YTRTNJL
YZAYA

5) REBUS

Stosiedemnastolecie Powstania Listopadowego.

REBUSOGRAF 3)

PATRIOTYCZNE ZADANIE ZACZYNA SIĘ OD WYRZECZENIA SIĘ WŁASNEGO INTERESU (orangutan, spodnie, staw, cegła, cytryna, więzienie, oaza, deszcz, sierpy).

REBUS 7)

Nikomu nie ufaj, na swojej sile polegaj tylko.

WIRÓWKA GWIAŹDZISTA 10)

4) PRZEKŁADANKA

S P
CS PA
AZK GRR
RARS RAZL
TNZZP TELEA
ASYTEL ZYZASM
BOŻENARODZENIE
ENORTNOKEYRTLN
LEWLADRTRFWEET
LTIIGAAAZOURNA
UKENORTNANAIIR
SACGNAYTKARAEZ

2) ELIMINATKA

BON, LUT, NIT, RYM, PUR, TIR, BAN, DUR, RAB, TUZ, BAT, TYP, UNA, RYS, REN, MUR; TRYBUN

ŻART REBUSOWY 9)

Święta Barbara po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie.

REBUS 6)

Dziatwa czeka na Mikołaja dary.

KRZYŻÓWKA 11)

IGO, SKAFANDER, MAJAKI, ARKTUR, ETALAŻ, LIPANI, ARABINOZA, DELIKATES, TARAN, OPERA, ODA, INDOR, DAKOTA, GALAGO, OLIFANT, PARASOL, KANONIKA, GUBERNIA

KARNAWAŁOWY KONKURS NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W numerze 1(77) ogłosiliśmy nowy „Karnawałowy Konkurs" na rozrywki umysłowe, który trwać będzie do dnia 8 lutego br. i w którym podamy najbardziej urozmaicone typy zadań. Za rozwiązanie każdego przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy odgadną przynajmniej jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia (również książkowych).

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 22 lutego br.

Za trzy najlepsze zadania wytypowane przez czytelników przyznane będą trzy nagrody autorskie.

Prosimy o nadsyłanie ciekawych zadań oraz projektów nowych konkursów.

Za rozwiązanie Redakcja przeznacza do rozlosowania:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

oraz

10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

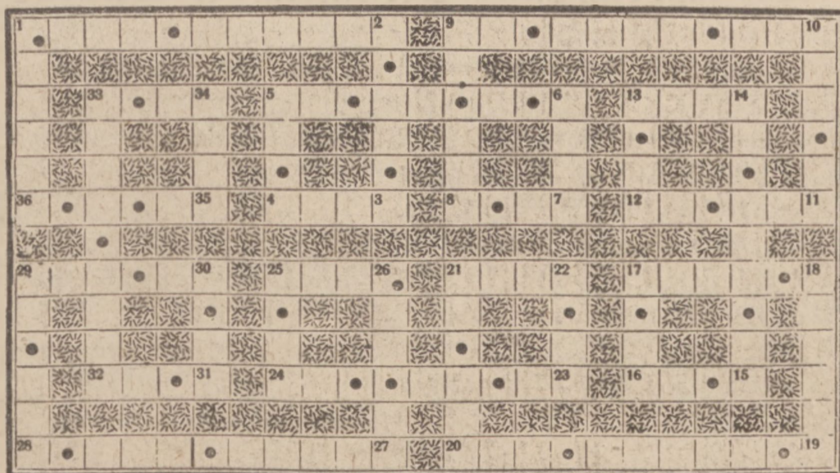
W najbliższym czasie ogłosimy jeszcze jeden ciekawy konkurs.

WĘŻOWNICA

W kratki podanej figury należy wpisać począwszy od górnego lewego narożnika jednym ciągiem 38 wyrazów o podanych znaczeniach. Końcowa litera każdego wyrazu jest zarazem początkową następnego. Początek i koniec wyrazów w kratkach oznaczonych kropkami. Litery w kratkach numerowanych odczytane w kolejności cyfr dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) muzyk nadworny Zygmunta III, 2) urzędnik państwowy, 3) odmiana stylu rokokowego, 4) tarcica, deska, 5) obszar ziemi, 6) świadomość rozsądku, 7) tkanina, 8) przystąpienie do czegoś, przyłączenie się, 9) pr. dopływ Wisły, 10) krewni po mieczu, 11) większa litera początkowa, 12) ryba z rzędu kostnoszkieletowych, 13) m. na Syberii, 14) nazwa niektórych wyższych uczelni, 15) trzewik pokojowy, pantofel z miękką podeszwą, 16) mowa ludowa drawidyjska w południ. Indiach, 17) m. w pow. Rawskim nad rz. Sołokiją, 18) nauka, 19) harmonijka ręczna, 20) napój-trunek, 21 klamra, 22) czekan, 23) nicpoń, hultaj, tchórz, 24) myśl dowcipna, 25) dodatek, uzupełnienie, 26) inaczej brudzi, 27) duchowny mahometański u szyitów, 28) słodkie wino greckie i w ogóle połudn., 29) przedmiot przestarzały, 30) smaczne danie, 31) szkielet druciany kapelusza damskiego. 32) wyrażenie używane w marynarce, 33) postawa - mina, 34) skupienie pewnych rzeczy w całości, 35) kierunek wojny, 36) okrycie, płaszcz od kurzu, 37) rodzaj straganu, 38) rodzaj smacznego ciasta w 2-im przyp. l. p.

Mieczysław Karaś



NOWY KONKURS „TYGODNIA“

Przysłowie zilustrowane w zagadce Nr 22 jest tak popularne, używane powszechnie zarówno na wsi, jak i w mieście, toteż nic dziwnego, że nadesłano rekordową jak dotychczas liczbę odpowiedzi 572, przy czym wszystkie bezbłędne, z tego powodu liczbę nagród powiększyliśmy. Rozwiązanie brzmi:

„krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje“.

W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Jadwiga Wielguszewska — Ostrowiec Świętokrzyski, ul. Górzysta 12.

Zofia Błaszczak — Wrocław, ul. Sienkiewicza 99 — 9.

Jan Wołoski — Biłgoraj, ul. Pianki 3.

Jerzy Held — Gostyń Poznański, Oddział „Społem“ cukrownia.

Lucjan Szałajski — Warszawa, ul. Grzybowska 37 — 6.

Bożena Jankowska — Opoczno, ul. Piotrkowska 77 Oddział „Społem“.

Wanda Szymla — Cmielów, ul. Kościuszki 22, pow. opatowski.

Wanda Pollo — kraków, ul. Lelewela 6 m. 5.

Marian Pluta — Opoczno, ul. Sobieskiego 5 (internat).

Gromada wsi Sypniewo k/Ostrołęki powiat Maków - Mazowiecki.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA“

Zofia Wołoszyn — Rzeszów, ul. Spytka Ligęzy 8.

Arkadiusz Bojanowski — Łódź, Przeskok 5 — 1.

August Wasylecki — Chełm Lubelski, ul. Pierackiego 18.

Zbigniew Olyniec — Opole (Śląsk) ul. Ligonia 19 — 5.

Jerzy Marusa — Sosnowiec, ul. Sienkiewicza 17c.

Wiktor Zajfen — Gliwice, ul. Młyńska 22.

Monika Falkowska — Jarocin Wlkp., ul. Dąbrowskiego 11.

Bohdan Wasilewski — Raciąż k/Sierpca, Pl. A. Mickiewicza 15.

Stanisław Gorczyński — Ciechanowiec, pow. Bielsk - Podlaski.

Janusz Pałasz — Świnoujście, ul. Hołdu Pruskiego 12.

Antoniusz Kwiatkowski — Wałbrzych, ul. Uzdrowiskowa 19.

Eugeniusz Pelechaty — Świeradów Zdrój, ul. Nadbrzeżna 479.

Kazimierz Baster — Szczecin, Al. Piastów 58 — 24.

Tadeusz Godlewski — Ełk, ul. Kilińskiego 23.

A. Puchalski — Radom, Pl. Stare Miasto 9 — 3.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

P. Józef Wronka ze Szczecina proszony jest o podanie dokładnego adresu, gdyż poczta zwróciła wysłaną książkę.



Powyżej podajemy zagadkę Nr 25. Za prawidłowe rozwiązanie Redakcja przeznacza:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

oraz

10 PRENUMERAT KWARTALNYCH „TYGODNIA“

Termin rozwiązania upływa 31 stycznia br.

Tydzień Kobiety

Higiena i zdrowie

ZDROWIE DZIECKA

WAGA NIEMOWLĄT

O stanie zdrowia niemowlęcia orientuje nas w dużej mierze jego waga. Noworodek winien być od pierwszego dnia po urodzeniu ważony sy-



stematycznie: początkowo - codziennie, potem najrzadziej co dwa tygodnie — dla ustalenia przybytku na wadze i dla celów ogólnych. Przy stanach chorobowych, a szczególniej podczas rozwolnienia kontrola przy pomocy wagi jest tym bardziej konieczna. Żeby uniknąć przykrych następstw przekarmiania lub niedokarmiania należy co jakiś czas ważyć niemowlę bezpośrednio przed karmieniem i po nim: różnica wag wykaże nam, ilość wyssanego pokarmu.

Dla orientacji podajemy tabelkę normalnej wagi niemowlęcia w pierwszym roku jego rozwoju: cyfry tabelki są przeciętne więc możliwe są u zdrowych dzieci nawet dość duże indywidualne odchylenia. Należy również przestrzec matki przed zbyt pochopnym wyciąganiem wniosków z jednorazowego ważenia, gdyż niemowlę może być akurat w tym dniu niedysponowane i waga w związku z tym może wyglądać niepokojąco, co jednakże nie powinno napawać trwogą.

Przybytek na wadze nie stale jest jednakowy: mogą być rozmaite i z różnych przyczyn wahania i odchylenia. Decydująca jest różnica wagi w większych odstępach czasu, a nie w ciągu 24 godzin.

Dr med. B. M.



Tabela normalnej wagi niemowlęcia

Ilość miesięcy	Waga w kg	
	Chłopcy	Dziewczynki
Noworodek	Od 3,3 do 3,5	Od 3,1 do 3,25
1 miesiąc	Od 3,8 do 4,4	Od 3,6 do 4,1
2 miesiące	Od 4,7 do 5,3	Od 4,2 do 4,8
3 miesiące	Od 5,2 do 6,2	Od 5 do 5,7
4 miesiące	Od 5,9 do 6,8	Od 5,8 do 6,3
5 miesięcy	Od 6,4 do 7,3	Od 6,3 do 6,9
6 miesięcy	Od 7 do 7,9	Od 6,9 do 7,4
7 miesięcy	Od 7,2 do 8,5	Od 7,1 do 7,8
8 miesięcy	Od 7,7 do 8,9	Od 7,6 do 8,2
9 miesięcy	Od 8,1 do 9.2	Od 7,9 do 8,5
10 miesięcy	Od 8,3 do 9,5	Od 8,1 do 8.8
11 miesięcy	Od 8,5 do 9,9	Od 8,2 do 9,4
12 miesięcy	Od 8,8 do 10,2	Od 8,3 do 9,7

W następnym artykule z cyklu „Zdrowie dziecka" omówimy zagadnienia lampy kwarcowej i tranu.



praktyczna Gospodyni

Jeśli ciasto w piecu za prędko się rumieni, należy je podczas dalszego pieczenia nakryć arkuszem papieru.

Zjełczałe masło nada się jeszcze do użytku, jeżeli wypłuczemy je w mleku, a potem przepłuczemy kilka razy wodą. Następnie masło się soli i wyrabia łyżką kilkakrotnie.

Suszone strączkowce należy solić podczas gotowania dopiero wtedy, gdy są zupełnie miękkie, bo pod wpływem soli twardnieją. Jeśli chcemy, żeby się nam szybko ugotowały, to trzeba dodać do wody szczyptę sody oczyszczonej.

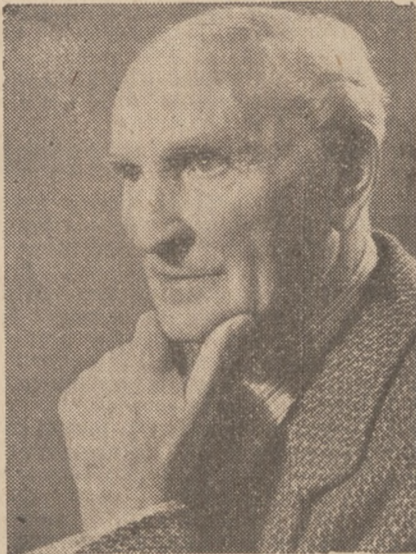
Niemiły smak tłuszczu, zwłaszcza już nieświeżego .można zatracić, przesmażając w nim surową marchew lub kartofel, które ów zły smak całkowicie wchłaniają, tak, że tłuszcz jest potem zdatny do użytku.

POZNAJMY NASZYCH ARTYSTÓW

PAWEŁ OWERŁŁO

W ubiegłym tygodniu odbył się w Teatrze Rozmaitości jubileusz 60-lecia pracy artystycznej zasłużonego aktora i reżysera Pawła Owerłły.

Poważny latami, ale młody duchem i wyglądem artysta na jubileuszowe przedstawienie wybrał sztukę Zapolskiej, z którą w swych pierwszych latach kariery scenicznej grał (jak wiadomo, Zapolska była również aktorką) i przyjaźnił się. W tejże „Żabusi" grał zresztą po raz pierwszy przed 40 laty, wówczas kreował jednak rolę męża — dziś występuje w roli ojca.



Paweł Owerłło jest dzieckiem Warszawy i to dzieckiem najwierniejszym. Bowiem w ciągu długich 65 lat pracy w teatrach nie sprzeniewierzył jej się nigdy — raz tylko w ciągu paru miesięcy występował w teatrze kieleckim, bynajmniej jednak nie z własnej ochoty. Wypędzony, jak i inni warszawiacy po Powstaniu Warszawskim, znalazłszy się w Kielcach, po wypędzeniu Niemców zajął się tam zorganizowaniem teatru, ale przy pierwszej możliwości powrotu do ukochanej nade wszystko stolicy wrócił i rozpoczął pracę w teatrach miejskich.

Tak się złożyło, że swą karierę artysty dramatycznego rozpoczynał w Teatrze Rozmaitości i swój 65-letni jubileusz obchodził również w Rozmaitościach. Ze starych, dawnych świetności Rozmaitości pozostało zaledwie pięciu żyjących aktorów: Helena Rolandowa, Paweł Owerłło, Wojciech Brydziński, Stanisław Zejdowski i Eustachy Kojałowicz. Ale nie ma chyba w Polsce aktora, który by nie znał, nie cenił i nie lubił Owerłły, toteż jego jubileusz zgromadził tych wszystkich, którzy nie grali tego wieczora, a z całej Polski napływały w ciągu dnia depesze gratulacyjne.

Ile ról grał w życiu? Nie potrafi na to jubilat odpowiedzieć, Nie sposób zliczyć po prostu. Ile sztuk reżyserował? Dużo — inaczej się nie da powiedzieć. Ale przecież prócz zajęć zawodowych Owerłło żywo interesował się pracą społeczną i życiem organizacyjnym. Poza tym trochę pisał, trochę grał... na skrzypcach. Ma bowiem ukończone konserwatorium i z pieniędzy uzyskanych przed 20 laty za swój 40-letni jubileusz, wyasygnował wszystko na kupno skrzypiec.

— Kosztowały wówczas 15 tysięcy — mówi Owerłło. — Wszystko mi przepadło w czasie Powstania, ale skrzypiec mi żal najwięcej, no i archiwum. — Artysta bowiem posiadał bogate archiwum wycinków teatralnych i afiszy.

Jubilat z „Żabusi" wystąpi wkrótce w jeszcze jednej roli. Napisał mianowicie sztukę sceniczną „Po siedmiu latach", być może już niedługo będziemy ją mogli zobaczyć w którymś z teatrów warszawskich.

W.

Smacznego!

FLAKI

2 kg flaków, ¾ kg wołowego mięsa rosołowego, 2 duże marchewki, 2 pietruszki, 5 dkg masła. Sól, pieprz, majeranek ,papryka i imbir.

Dobrze wyczyszczone i kilkakrotnie wymyte flaki zalać zimną wodą i zagotować. Po zagotowaniu dokładnie zszumować i wodę odlać. Następnie flaki zalać świeżą wodą i gotować 4 do 5 godzin .Potem wyjąć z rondla, pokrajać w cienkie paseczki jak makaron i dodać uprzednio wygotowany rosół z mięsa.

Marchew i pietruszkę również pokrajać w cienkie paski i oddzielnie ugotować. Gdy już będą miękkie dodać do flaków, wymieszać, posolić, popieprzyć, wsypać trochę majeranku i zaprawić masłem z łyżką mąki.

Oddzielnie podawać majeranek, pieprz, paprykę i imbir.

PIECZEŃ Z DZIKA

Ponieważ ukazało się ostatnio na naszym rynku sporo dzików nie od rzeczy będzie przypomnieć staropolski przepis na doskonałą dziczą pieczeń.

2 lub 3 kg dzika wyżyłować, zalać gorącym, przegotowanym z korzeniami i ząbkiem czosnku niezbyt mocnym octem. Pozostawić tak na kilka dni przewracając mięso od czasu do czasu. Wyjąwszy z octu, posolić, włożyć do rondla, dodać trochę tłuszczu i mocno zrumienić, potem dolać rosołu i dusić na wolnym ogniu. Po dwóch godzinach dolać szklankę białego wina lub ¼ litra kwaśnej śmietany, trochę octu, w którym się pieczeń moczyła i dusić aż będzie zupełnie miękka. Sos zaprawić mąką.

PIEROŻKI Z DORSZA

Produkty: 1 kg dorsza, 10 dkg masła, 20 dkg cebuli, 2 łyżki bułki tartej, 1 łyżka zielonej siekanej pietruszki, sól i pieprz do smaku.

Wykonanie: 1) Mięso z dorsza bez skóry podsmażyć razem z cebulą i zemleć na maszynce lub posiekać. 2) Wymieszać dokładnie z resztą dodatków, nakładać masę do ciasta jak na łazanki, zakleić ugotować z osolonej wodzie. Podawać polane masłem z rumianą bułeczką.

PASZTET Z DORSZA

Produkty: 1 kg dorsza, 15 dkg cebuli, 15 dkg bułki tartej, 2 jajka, 1 łyżeczka gałki muszkatołowej, ½ łyżki bulionu Maggi, 25 dkg słoniny, sól i pieprz do smaku.

Wykonanie: 1) Dorsza oczyszczonego i wymytego obrać ze skóry i ości. 2) Podsmażyć razem z cebulą i słoniną. 3) Przekręcić na maszynce od mięsa najmniej dwa razy. 4) Masę dokładnie ze wszystkimi dodatkami wymieszać. 5) Ubić sztywną pianę — lekko z masą wymieszać. 6) Odpowiednią formę wysmarować i wysypać bułką. 7) Masę wyłożyć do formy ,ugotować w piecu lub na parze. Podawać można na gorąco lub na zimno z dowolnym sosem.

Uwaga: Pasztet ten można gotować zawinięty w serwetę, wysmarowaną tłuszczem i wysypaną bułeczką; masę zawija się w podłużną kiszkę. Podając na zimno, przybrać gustownie pokrajaną jarzynką, grzybkami marynowanymi i galaretką.

Aforyzmy o kobiecie

Zaspokoić ciekawość kobiety jest to napełnić wodą przetak.
Jordan (Julian Wieniawski)

Dwór królewski bez kobiety — to rok bez wiosny — wiosna bez róż.
Franciszek I

Na świecie są tylko dwie piękne rzeczy: kobiety i róże, dwa tylko smaczne kąski: melony (?) i kobiety.
Malherbe

Kto kocha piękną kobietę zapomina o interesach.
Voltaire

Synu mój, wchodzisz w świat, daję ci tylko jedną radę: jednocześnie kochaj wszystkie kobiety.
M-me de Montmorin

B-42854







Spodnie

Pomimo zdecydowanego oporu kobiet całego świata dyktatorzy mody paryskiej trwają uparcie na swym „rewolucyjno-księżycowym" piedestale. Najnowsze płody ich modotwórczego natchnienia są nadal jedynie piękną malarską fantazją, wyłącznie sztuką dla sztuki i to zresztą bardzo elitarną, niedostępną z reguły dla tzw. przeciętnych śmiertelniczek. Z tym większą więc sympatią notujemy rozsądne „ziemskie" nowości, które tym razem przynosi nam moda Londynu. A więc: ostatni krzyk mody angielskiej — **spodnie jako strój domowy** zdobędą sobie niewątpliwie i u nas masę zwolenniczek. Druga głośna nowość — to **welwety**, które w dziedzinie modnych tkanin wysunęły się ostatnio w Anglii na czołowe miejsce. **Welwety dla wszystkich** — bez różnicy wieku — i w najrozmaitszych zastosowaniach: od sukni balowej — do szlafroczka, od kapelusza, rękawiczek, torebki — aż do miłych domowych „papuci" itd., itd...

(Modele: „Vogue", — Londyn i „The Ambassador").

Welwety











Z SZEROKIEGO świata



W Palestynie ćwiczy się żydowska Policja Osiedli, mająca zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom — Żydom.





W przeciwieństwie do Europy Stany Zjednoczone mają śnieżną zimę. Swiadczą o tym rozmiary „bałwana" śnieżnego, ulepionego przez studentów w New - Jorku



Cóż za emocja maluje się na twarzach młodych widzów, obserwujących karkołomną wędrówkę cyrkówki.



Ta jest najpiękniejsza! Tak orzekło jury przyznając p. Charriere Myriam tytuł „Miss Cinemonde" na rejon południowo-zachodniej Francji



Radziecka „Norymberga". Przed trybunałem radzieckim w Berlinie rozpoczął się wielki proces zbrodniarzy hitlerowskich. Przewodniczący płk Majarow (drugi od prawej). Na pierwszym planie prokurator ppłk. Bielajew.



Która najpiękniejsza? Uczestniczki eliminacji do konkursu na Miss France, który odbył się w Klubie Pól Elizejskich.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11—13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 75 zł., półroczna 450 zł., roczna 900 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.
R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakłady Wklęsłodrukowe R.S.W. „Prasa", W-wa.